Nr. 50. Lwów, Niedziela dnia 19. Sierpnia 1877 r. Tom V.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 12 ul. Kopernika.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.

Dorsze szulom

i jego organ „Zgoda.“

„Wtedy wystąpię z moją kandydaturą, gdy Lwów nie będzie wybierał trzech katolików i jednego żyda, lecz czterech Polaków.“

Kto przysłuchiwał się zeszłej jesieni w lwowskiej sali ratuszowej, w czasie walki przedwyborczej, mowom kandydatów, ten zapewne pamięta, czyje to słowa, któreśmy wypisali u wstępu niniejszych uwag.

Wyraził się w ten sposób dr. Bernard Goldmann, odrzucając ofiarowaną mu kandydaturę. Pomimo to zasiada obecnie pan Goldmann w izbie sejmowej, jako reprezentant miasta Lwowa. Chociaż on bowiem tak rezolutnie zastrzegł się przeciwko ofiarowanej mu godności poselskiej, to, z nielicznymi wyjątkami, wszyscy głosujący dawali mu swoje wota, mówiąc sobie w duchu, że jakkolwiek znajdujemy się jeszcze w tym nieszczęśliwym okresie, że nie można swobodnie wybierać pomiędzy Polakami, tylko potrzeba skrupulatnie z tem liczyć się, który z nich jest chrześcianinem, a który żydem, to że p. Goldmann jest właśnie *takim* żydem, jakich nam potrzeba w sejmie.

Pan Goldmann wybornie też zrozumiał swoją misyą. Zrozumiał on, że gdy stolica kraju powierzyła mu mandat poselski po tak ognistej, serdecznym patryotyzmem natchnionej mowie, z jaką on wystąpił w październiku r. z. w sali ratuszowej, że cięży na nim teraz obowiązek honoru, ile mu sił starczy pracować nad tem, ażebyśmy jak najprędzej doczekali się zatarcia istniejących obecnie różnic pomiędzy Polakami rozmaitych wyznań, czyli mówiąc wyraźniej, pomiędzy Polakami-chrześcianami, a Polakami-żydami.

Pomiędzy „Polakami-żydami.“ Jak to dziwnie brzmi! Jakżeż często spotykać się nam zdarza z drwinami na temat „braci Polaków mojżeszowego wyznania?“ Iluż to mamy pomiędzy 600.000 żydów zamieszkujących kraj*) nasz takich, którzy z serca, szczerze, poczuwają się do solidarności z nami tak pod względem towarzyskim jak niemniej i w politycznem wyznaniu wiary?...

Niestety, mało — niezmiernie mało. Pan Goldmann ma jednakże tę zasługę, że wziął się szczerze do pracy w tym kierunku, ażeby zespolić i ująć w system luźny dotychczas i bezsilny wpływ na masy żydowstwa tych światłych współwyznawców swoich, którzy podzielają jego poglądy polityczne i społeczne.

Z inicyatywy posła Goldmana utworzyło się przed kilku tygodniami we Lwowie stowarzyszenie żydowskie pod nazwą „Dorsze szulom“ (Zwiastun pojednania), które wytknęło sobie za cel wedle słów statutu: „Dążyć do ustalenia i utrzymania zgodnego pożycia tak pod względem politycznym jakoteż i społecznym z ludnością chrześciańsko-polską w kraju, wzmacniać poczucie obywatelskie przez gorliwy i duchowi czasu odpowiedni współudział we wszystkich sprawach życia publicznego i gminnego, krzewić zasady postępu i rozpowszechniać wiedzę, mianowicie znajomość języka polskiego i literatury pomiędzy żydami w Galicyi zamieszkałymi.“

Stowarzyszenie „Dorsze szulom,“ o którem zresztą pisaliśmy już w *Tygodniu,* zjednoczyło w swem gronie mężów takich, jak dr. Beiser, honorowy obywatel miasta Lwowa, poseł dr. Filip Zucker, adwokat dr. Maurycy Jekeles, lekarz dr. Rosner itp. znani i w szerszych kołach z wybitnych zdolności swoich, wysokiej inteligencyi i zacnego poczucia obowiązków względem kraju, którego są synami.

Ażeby tem skuteczniej rozpowszechniać zasady, objęte programem stowarzyszenia „Dorsze szulom,“ założyło ono własny organ dziennikarski w języku polskim, z dodatkiem drukowanym hebrajskiemi czcionkami po żydowsku pt. *Zgoda.* Wydawcą i odpowiedzialnym redaktorem *Zgody* jest dr. Bernard Goldmann. Cel i dążność tego pisma najwymowniej streszczają się w następujących słowach, wyjętych z programu wydawnictwa:

„Chcemy i dążymy do tego, mówi redakcya *Zgody*, aby jak najprędzej ustało owe naprężenie stosunków, jakie zapanowało w kraju naszym między mieszkańcami jednej ziemi, różniącymi się jedynie tylko wyznaniem religijnem.

„Chcemy i dążymy do tego, aby zgodne pożycie tak pod względem politycznym jak i społecznym między żydami a ludnością chrześciańsko-polską w kraju ustalonem i utrzymanem zostało.

„Chcemy i dążymy do tego, aby współwyznawcy nasi poczuli się prawdziwymi obywatelami tego kraju, świadomymi nietylko praw swoich, ale i obowiązków, wobec kraju i współobywateli na nich ciążących.

„Chcemy i dążymy do tego, aby Żydzi w Galicyi z tych praw w całej pełni korzystali, a obowiązków swoich obywatelskich gorliwie dopełniali.

„Chcemy i dążymy do tego, aby współwyznawcy nasi sprawy ogólno-krajowe za swoje również uważali, i aby czynny i duchowi czasu odpowiedni brali udział we wszystkich sprawach życia publicznego.

„Chcemy i dążymy do tego, aby znajomość języka polskiego rozpowszechnioną została między żydami w Galicyi zamieszkałymi.

„Takie są nasze zamiary i usiłowania odnośnie do naszych współwyznawców.

„W stosunku do naszych współobywateli innych wyznań będziemy usiłowali zwalczać przesądy przeciwko Żydom istniejące i niweczyć złą wolę, uwydatniającą się czasami w traktowaniu spraw żydowskich.

„Będziemy żądali, aby nas na równi traktowano z obywatelami kraju innych wyznań, aby nie czyniono odpowiedzialną całej społeczności żydowskiej w kraju za możliwe przewinienia i błędy jednostek“.

Czy poczciwe usiłowania wydawców *Zgody* odniosą pożądany skutek? Możni koryfeusze przeciwnego im stronnictwa żydowskiego, dla których wiedeńska *Neue freie Presse* zastępuje Talmud, szydzą z usiłowań stronnictwa światłych

*) Galicyę. W całej Polsce jest przeszło 2 miliony Żydów.

żydów polskich, które przez zawiązanie stowarzyszenia *Dorsze szulom* i założenie własnego organu dziennikarskiego, o którym tu mówimy, nietylko że coraz wybitniej koncentruje się, lecz nabiera także przez to samo coraz więcej sił żywotnych, wyrabia sobie coraz poważniejsze stanowisko tak wobec współwyznawców swoich, jak i wobec kraju i narodu w ogóle.

Niemiecki *Szomer Izrael* zbankrutował haniebnie — na jego gruzach formuje się polski *Dorsze szulom*. Czyż ten „Zwiastun zgody“ żydów z resztą społeczeństwa, wśród którego oni od czterech wieków żyją, nie zwiastuje zarazem upadku zwolennikom „niezgody“? Czyż sam fakt pojawienia się „Zwiastuna zgody“ nie jest dla nich dostatecznym powodem do gniewu i szyderstwa?

Żydzi, przeciwni dążnościom dra Goldmanna i jego przyjaciół politycznych, nazywają ich fantastami, nie znającymi usposobień masy współwyznawców swoich. Ze smutkiem wyznać nam przychodzi, że w tem spostrzeżeniu wrogów *Zgody* wiele jest słuszności. Kwestya żydowska właśnie dlatego jest tak trudną do rozwiązania, że właśnie te żywioły, które godzić się mają, *nie chcą* zgody! Ich religia, odwieczne urządzenia rodzinne i społeczne, tradycya, a nawet i pochodzenie szczepowe sprzeciwiają się zbliżeniu do nas. Więc nie ma się co łudzić nadziejami, ażeby *Zgoda* dra Goldmanna zbyt świetnie kwitła. Lecz bądź co bądź mogą sobie powiedzieć patryoci światli, zgrupowani około tego najmłodszego organu polskiej prasy: *In magnis voluisse sat!*

Zasady, stanowiące fundamenta programu *Zgody* nie zaginą, dokąd naród nasz żyje. Więc raz rzucony posiew w tym duchu — jeźli nie teraz, to w przyszłych pokoleniach wyda plon, na chwałę Polsce, a na pożytek cywilizacyi.

Takie jest nasze przekonanie, i z tą wiarą witamy serdecznie miłą i pożądaną siostrzycę w drużynie naszej dziennikarskiej — poczciwą *Zgodę* żydowską!

IWAN GROŹNY

Urywek z powieści historycznej Kostomarowa „KUDIEJAR“

(Ciąg dalszy.)

Przynieśli szablę. Car przypatrywał się i chwalił. Ulubieńcy chwalili także szablę.

Kudiejar pokłonił się raz jeszcze i rzekł:

— Wielki carze, zrób łaskę mnie, chłopowi twemu, i pozwól złożyc ci tę szablę w darze.

— Dzięki ci, Jerzy — rzekł car łaskawie — Wiaziemski, zanieś tę szablę do zbrojowni. Nie będzie ona tam ostatnią w zbiorze. No, Kudiejarze, czegożbyś ty od nas życzył? Kudiejar pokłonił się do ziemi i odrzekł:

— Wielki gosudarze, zmiłuj się nademną, chłopem twoim, i pozwól mi zobaczyć prawną moją żonę.

— A! czego mu się zachciało! — rzekł car zaśmiawszy się.—Oto, o czem on przedewszystkiem myśli! On pewnie dlatego tylko do mnie przyjechał, bo żona jego jest w moich rękach, posłuszna mojej woli. A gdzie teraz ona, o tem nie wiedział i teraz nie wie. Bez niej i kruk by jego kości tutaj nie przyniósł. Oj, kozacze! kozacze! chciałeś nas oszukać: żonę twoją oddamy ci, a ty uciekniesz z nią do twego przyjaciela Dewlet-Gireja, albo do króla Zygmunta Augusta, i będziesz złe na nas knował.

— Carze gosudarze—rzekł Kudiejar — będę tobie jedynemu służył do ostatniego tchnienia, i nie pójdę nigdzie od ciebie. Poddaj mię jakiej sam chcesz próbie.

— Już ja cię poddam próbie — rzekł car — ale czy przez nią przejdziesz. Ludzie znakomitych rodzin książęcych i bojarskich zdradzają nas, więc my trzymamy obok naszej osoby ludzi źle urodzonych, tworzymy sobie książąt z gnojowiska. I ciebie weźmiemy do naszego otoczenia. Jaki twój ród? Kto byli twoi przodkowie? Może łapcie pletli, lub świnie paśli? A my weźmiemy cię do naszych opryczników, i codzień oglądać będziesz oblicze nasze.

— Biję czołem za tę wielką łaskę — rzekł Kudiejar i pokłonił się do ziemi.

— Lecz może ty myślisz że tę łaską wielką—rzekł car—otrzymuje się za darmo? Nie, kozacze, darmo nic się nie daje. Wiaziemski, powiedz mu co trzeba czynić, żeby być w naszem kole.

Wiaziemski rzekł:

— Trzeba ci złożyć przysięgę na służbę gosudarowi wierną aż do ostatniej krwi kropli, aż do ostatniego twego tchnienia, kochać cara nadewszystko, nad żonę i dzieci, nad ojca i matkę. Albowiem napisano jest, że kto nie znienawidzi dla mnie ojca swego i matkę, żonę i dzieci, ten mnie nie jest godzien. Tego potrzeba dla prawdziwego, nieobłudnego sługi carskiego. Gdyby ci car rzekł: zabij ojca twojego, albo matkę twoją, albo żonę lub dzieci, wypełń rozkaz carski nie namyślając się ani chwili. Kto jest wrogiem cara, ten i twoim wrogiem. Jeśli wróg carski przyjdzie do ciebie chłodny, głodny lub nagi i ty mu dasz odzienie, lub odrobinę chleba, lub czaszę wody — zasłużyłeś na śmierć okrutną. Musisz patrzeć wszędy i słuchać: czy nie mowi kto źle o carze, czy nie patrzy z podełba gdy wymawiają jego imię wysokie. . Szukaj wrogów carskich, jak pies gończy szuka zwierzyny, szarp wroga carskiego, jak tygrys krwi żądny. Popa ubranego w ornaty nie bój się, jeśli źle myśli o carze, nie szanuj starca ubielonego siwizną, niemowlęcia u piersi, jeśli jest ze krwi zdradzieckiej nie żałuj! To znaczy: być wiernym, prawdziwym sługą carskim.

— Będę tak czynił, jak się carowi gosudarowi podoba — rzekł Kudiejar.

— Będziesz — rzekł car, rozśmiawszy się — teraz obiecasz nam wszystko, a gdy żonę dostaniesz, uciekniesz. Lecz sam nam powiedziałeś, że się poddasz wszelkim próbom. Otóż naznaczę ci trzy próby, jedna po drugiej. Jeśli przejdziesz przez nie szczęśliwie, to będziesz w naszem otoczeniu. Żona twoja nie powinna ci być droższą od nas, pomazańca bożego. Słyszysz!

— Będę czynił wszystko według twych rozkazów — rzekł Kudiejar.

— Pomieścić go w moim dworze, razem z opryczników — rzekł car.

Na drugi dzień poszedł Kudiejar na rozkaz cara do długiego budynku kamiennego, wchodzącego w ziemię. Tam w ogromnej, długiej komnacie, oświeconej małemi oknami, wysoko położonemi, okratowanemi, ujrzał Kudiejar olbrzymie patelnie wielkości człowieka, narzędzia w kształcie kocich pazurów przywiązanych do rzemieni, piły, wielkie igły i ćwieki, jakąś ściankę zbitą z desek i usianą gwoździami, tkwiącymi ostrzem do góry. W olbrzymim piecu, stojącym w kącie palił się ogień. Podłoga cała była krwią zmazana. W środku sali stał tron. Car z synem siedział na ławie, naprzeciwko tronu; za nim stał milczący tłum ulubieńców.

Z bocznych drzwi wyprowadzono starca, wysokiego, łysego, z zwężającą się u dołu siwą brodą, bladego, znużonego; błękitne jego oczy patrzyły prosto i odważnie, na twarzy był wyraz stanowczości i obojętności na los, który go oczekiwał. Za nim szła staruszka w czarnej sukni, z oczyma ku niebu zwróconemi; nie widać u nich było łez, upadła na kolana, złożyła na krzyż ręce i szeptała modlitwę.

Car zwróciwszy się ku starcowi rzekł:

— Koniuszy Iwanie Petrowie! Wiadomem nam się stało, że ty, zapomniawszy Hospodyna Boga i naszą przewielką ku tobie miłość, wspólnie z tymi, którzy jak ty myśleli, przyzwawszy na pomoc nieprzyjaciół naszych, Zygmunta Augusta, króla polskiego, i Dewlet-Gireja, chana krymskiego, chciałeś nas, przyrodzonego twego pana, zrzucić z praojcowskiego tronu i zgubić z całem naszem carskiem pokoleniem a sam zamyślałeś usiąść na carskim tronie. Pozazdrościłeś naszego tronu, zechciało ci się siedzieć na nim. Ninie my, z naszej carskiej łaski zrobimy czegoś żądał, posadzimy cię na tronie. Włóżcie nań strój carski!

Starzec nic nie mówił i nie opierał się, gdy mu wkładano carskie odzienie!

— Siadaj — rzekł car — bierz w jedną rękę jabłko a w drugą berło.

Starzec usłuchał.

Iwan Wasilewicz pokłonił mu się do ziemi i rzekł:

— Bądź pozdrowiony, carze i wielki księciu wszech Rusi. Popatrzcie na niego; nieprawdaż, dobry! Cóż tak siedzisz, jakby na obrazie namalowany? Ruszaj głową na prawo, na lewo, ściągnij brwi groźnie, dostojnie... No, ja cię posadziłem na tronie, ja cię i zrzucę z tronu.

Mówiąc te słowa car, ugodził go w pierś sztyletem. Starzec upadł, krwią się zalewając. Opryczniсy rzucili się na pół umarłego, kłuli, deptali nogami, potem powlekli trupa do drzwi rozwartych, za któremi widać było stado psów na smyczy. Umyślnie przez długi czas poprzednio nie dawano psom jedzenia i wyły one z głodu.

— Psom jego na pożarcie—rzekł car. Opryczniсy wynieśli trupa; psy się nań rzuciły i drzwi się zamknęły.

Staruszka przez cały czas trwania tej sceny nie poruszyła głowy, trzymała ciągle oczy w niebo wlepione i szeptała modlitwę.

— A oto i jego caryca—rzekł car — Kudiejar zaduś twą dłonią żelazną tę carycę wszech Rusi.

Staruszka nie zmieniła się na twarzy, patrzała wciąż w górę i szeptała modlitwę.

Usłyszawszy rozkaz, wzdrygnął się wprzód

Kudiejar ze zgrozy, lecz przez myśl przeleciało mu następujące rozumowanie: jeśli on nie zgładzi staruszki, to ktoś inny zrobi toż samo, car mu tego nie przebaczy, i nie zobaczy on swej Naści. Rzucił się więc na staruszkę, ścisnął jej gardło i w jednej chwili straciła życie.

— Zuch! — rzekł car.

— Zuch! — powtórzyli ulubieńcy.

Wprowadzono drugiego starca, trochę młodszego od poprzedniego—lecz nogi jego zaledwie się ruszały. Był on w czarnem ubraniu, oczy miał spuszczone, głowa na pierś spadała.

Car rzekł:

— Kniaziu Piotrze Szczeniatiewie! Jakże ty zbawiasz swą duszę? Chciałeś iść do monasteru i być postrzyżonym, myślałeś że unikniesz tym mego sądu prawego — otóż i nie uciekłeś! Nie udało ci się, oszukując świat siedząc w monasterze, w cieple i w wygodzie, zjadać mnisich karasi, winem popijając — otóż ja z ciebie samego zrobię mniszego karasia.

Oprycznicy rzucili się na kniazia, zerwali zeń odzienie, obnażyli, chwycili potem za głowę, ręce i nogi, położyli na patelnię, i wsunęli do ognia w piecu. Rozległ się krzyk okropny. Car odwrócił się plecami do pieca.

Wprowadzono wysokiego człowieka, o kłaczkowatej brodzie, w wieku średnim. Przy nim szła kobieta o obłąkanym prawie wyrazie twarzy i chłopak lat siedmnastu.

— Car-batiuszka, miej litość — mówił wprowadzony — klnę się Bogiem, nie kłamię, oskarżono mię niesłusznie... nigdy nie brałem niczego. Carze, ty Boże ziemski, ulituj się — i giął się aż do ziemi.

— Carze-gosudarze, ulituj się — jęczała niewiasta i biła pokłony.

Za nią kłaniał się chłopak milcząco.

Car rzekł:

— Kazaryn-Dubrowski, ty, zapomniawszy o twej krzyżowej przysiędze, popełniłeś wobec nas złodziejstwo, uwolniłeś mimo naszego ukazu od służby dzieci bojarskich, wziąwszy od nich łapowe, a zrobiłeś to na korzyść naszego wroga Zygmunta Augusta, i zasłużyłeś tem na śmierć srogą.

— Ojcze-Carze! — rzekł Kazuryn-Dubrowski — moja wina w tem, żem odpuścił dziesięć dusz, nie za łapowe, lecz na ich prośby, gdyż powiadali, iż są słabymi i nie zdolnymi do oręża, a żebym to czynił dla twego wroga i przez myśl mi nawet nie przeszło.

— Łżesz, psie! — krzyknął car.

— Ojczeńku! karmicielu! Bóg miłosierny, i ty się ulituj! — krzyczała kobieta, tarzając się u nóg carskich.

Na rozkaz cara przynieśli oprycznicy ściankę nabitą gwoździami, i przywiązali doń nagiego Kazaryna plecami, a lontem żarzącym palili jego piersi, ręce i nogi. Straszny krzyk męczonego zagłuszały już zamierające jęki i zgrzytania smażącego się w piecu Szczeniatiewa.

Car rzekł:

— Kudiejarze, i ty, Mamstriuku! Drzyjcie do śmierci kociemi pazurami żonę i syna Kazaryna, w jego oczach. Niszczcie tych psich wyrodków.

Na kobiecie rozerwali ubranie, związali ręce i nogi i położyli na ziemi. Z chłopakiem postąpiono tak samo. Kudiejar bił z całej siły pazurami kociemi kobietę, a Mamstriuk chłopca, a inni oprycznicy obracali ich na wszystkie boki. I bili ich tak, aż póki ducha nie wyzionęli.

Wprowadzono potem całą rodzinę: ojciec, niski i pękaty, z ryżą brodą i krótką szyją, z wystającemi gałkami ocznemi, w których przebijał się przez wyraz strachu, wyraz przebiegłości; obok niego żona, o ciemnej tłustej twarzy, dwie córki podlotki z zapłakanemi oczyma, blade jak płótno i dwoje małych chłopczyków, którzy ryczeli i ucierali łzy kułakami, nie wiedząc co się z nimi dzieje.

Car rzekł:

— Tiutiewie! byłeś w łasce naszej: kazano ci być przy skarbie naszym, i ty, zapomniawszy o Bogu i jego świętych przykazaniach i naszej wielkiej łasce, okradłeś nasz skarb, i korzystałeś zeń z twymi wspólnikami, i chciałeś skarb nasz oddać Zygmuntowi Augustowi i chanowi krymskiemu, ażeby mogli nas, pana, zrzucić z praojcowskiego tronu. Sądziłeś, ty dyabelskie naczynie, że się wzbogacisz i będziesz żył w rozkoszach i łakociach, zapomniawszy, że kto się wzbogaca nie przez Boga, ten sam sobie przygotawia karę od władcy ziemskiego i będzie męczony wiecznie na tamtym świecie; i za toś się doczekał srogiej śmierci.

— We wszystkiem wola twoja, panie — rzekł Tiutiew — ty nasz Bóg na ziemi, a my niewolnicy twoi; dzięki ci czynić winniśmy za wszystko i za łaskę i za śmierć którą dajesz.

Pokłonił się carowi do ziemi.

Żona padała do ziemi i błagała o zlitowanie, lecz ze strachu nie mogła mówić słów w związku. Za nią kłaniały się córki a synkowie pełzali z płaczem po ziemi.

— Otóż zaczniemy od twych córek — rzekł car. Rozpiłujcie ich na dwoje!

W czasie gdy oprycznicy wykonywali rozkaz, car, podszedłszy blisko do klęczącego Tiutiewa i pokazując na córki, nad któremi się pastwiono, mówił:

— Patrz na męki i na wstyd twego pokolenia! Oto co czeka niewiernych i chytrych niewolników; nie tylko oni lecz ich nasienie cierpieć będzie za nich mękę przeklętą, chociaż niczem nie zgrzeszyło.

Matka rzuciła się bez pamięci na córki krwią zalane. Mamstriuk odtrącił ją silną ręką.

— Dzieci małych do pieca! — wrzasnął car.

Kobieta straciła rozum zupełnie, i powiedziała coś bez sensu, cós, z czego słychać było przekleństwa.

— A! ona jeszcze językiem kręci, — rzekł car: — włóżcie jej powróz do gęby i rozedrzyjcie ją na dwoje, a ty, Kudiejarze, kol igłą.

Oprycznicy wypełnili rozkaz cara, a Kudiejar, kłuł całe ciało kobiety ogromną igłą.

— Dosyć, — rzekł car, — wbij jej gwóźdź w ciemię.

Kudiejar wypełnił rozkaz carski, a zaraz potem dwóch opryczników przytrzymało Tiutiewa za ręce, dwóch otworzyło mu usta, a Mamstriuk wlał mu z rozkazu cara z glinianego garnczka ołów roztopiony do gardła.

Tiutiew padł wydawszy jęk głuchy i przez kilka minut wił się po podłodze. Car się rozkoszował widokiem ruchów konwulsyjnych.

Nareszcie wszystko umilkło. Wprowadzono młodego, dwudziestopięcioletniego kruczowłosego człowieka. Z nim razem szła starsza niewiasta, której regularne rysy twarzy i wielkie czarne oczy dowodziły, iż była niegdyś piękną. Patrzała odważnie i tak wyniośle głowę trzymała iż się zdawało, że po podarunki przychodzi.

Car rzekł:

— Książę Borysie Tułupowie, zapomniałeś o Panu Bogu i pogardziłeś naszą wielką dla ciebie i dla twej rodziny łaską, i chciałeś uciec z carstwa naszego do wroga naszego, Zygmunta Augusta, po ścieżce zdrajcy Kurbskiego, i matka twoja była ci pomocnicą. Lecz Bóg odkrył waszą zdradę i tyś był złowiony w drodze razem z matką i doczekałeś się srogiej kary. Wbić go na pal!

— Carze-gosudarze, — rzekł osądzony, — jam cię nie zdradził, a z carstwa twego chciałem uciec od wielkiego zamętu, bo ty, carze-gosudarze niesłusznie się na nas gniewasz i karzesz bez żadnej winy. I pies bez winy chłostany ucieka z podwórza. Teraz jam w twojej ręce. Rób z nami co chcesz. Jest sędzia nad tobą: Bóg na niebie. On ci odda za nas wszystkich.

Tołupowa wbili na pal.

— Ty nie car! — krzyknęła matka — tyś szatan, ty zwierz dziki. Męcz nas, szarp. Bądź przeklętym przez Boga. Zginiesz i ty i cały twój ród krwi żądny....

— Cha, cha, cha! — krzyknął car Iwan. Księżno, język twój prawdziwie babski! Widocznie tyś krotofilna niewiasta, więc też sprawię ci śmierć wesołą. Załaskotać ją na śmierć!

Kudiejar, ty zaczynaj.

Ciężkie zadanie miał Kudiejar do spełnienia. Księżna tarzała się około syna na pal wbitego. Kudiejar biegał za nią. Przyłączyli się doń i inni. Księżna opędzała się, wydawała okrzyki, dziko się śmiała, nareszcie padła bez czucia. Pozwolono jej odpocząć. Nareszcie przyszła do siebie, rzuciła się ku synowi, lecz schwycili ją oprycznicy, wywrócili na ziemię i łaskotali do śmierci.

Car się zabawiał przez kilka minut tą sceną, potem dał znak, żeby wprowadzono innych. Wprowadzono jedynastu dworzan, obwinionych o wspólnictwo z umęczonymi bojarami. Car kazał rozebrać ich do naga; pięciu z nich kazał oblać w swych oczach wrzącą wodą, lecz przy tej operacyi oberwało także dwóch opryczników, którzy niechcący chlusnęli na siebie wrzątkiem, a car ujrzawszy to, śmiał się serdecznie. Trzem z osądzonych odcięto ręce, trzem nogi i bito ich i popędzano knutem zmuszając pierwszych do biegania, a drugich do pełzania, aż nareszcie upadli bez czucia z powodu utraty krwi; wtedy car kazał Kudiejarowi dokończyć dzieła uderzeniem kułakiem w głowy.

Car odwróciwszy się do opryczników zapytał głośno:

— Czy sprawiedliwy mój sąd?

*

— Sprawiedliwy, gosudarze, — krzyknęli opryczniey, — jak sąd Boży.

— Czy sprawiedliwy mój sąd? — zapytał car Kudiejara.

— Sprawiedliwy — rzekł Kudiejar, a tak mu jakoś źle było w duszy.... Czuł, że wpadł w jamę, z której już wyjść nie ma możności. Nienawidził cara, pogardzał sobą, lecz chęć ujrzenia żony zwyciężyła w nim wszelkie inne uczucie.

— Dosyć na teraz, — rzekł car, — czas już na nieszpory. (Dok. nast.)

Z DZIEDZINY NAUK PRZYRODNICZYCH.

Zmiany na księżycu.

Księżyc jest jak wiadomo naszym najbliższym towarzyszem, zawieszonym w przestrzeni wszechświata; to też pod względem fizycznym mógł on być najlepiej ze wszystkich znanych ciał niebieskich zbadanym. Rezulaty tych badań dają się streścić w kilku słowach. Księżyc jest ciałem znajdującem się w stanie zupełnej śmierci pod względem życia organicznego. Nie ma tam powietrza (a jeśli jest, to tak mało, jak pod kloszem naszej pompy pneumatycznej po najstaranniejszem wypróżnieniu), nie ma tam wody, a różnica temperatury dnia i nocy wynosi paręset stopni. W takich warunkach nie możemy sobie żadnego organicznego życia wyobrazić. Jeśli dodamy do tego, że z powodu braku powietrza żaden dźwięk się tam nie rozchodzi, to przedstawi się nam nasz towarzysz na niebie jako martwa, głucha massa, bez śladów życia organicznego.

Lecz cofnąwszy się myślą wstecz, ujrzymy ciało, które niegdyś było w stanie takim, jak nasza ziemia, i dopiero później doszło do zupełnej martwoty. Księżyc również jak i inne ciała niebieskie powstał z rozpalonej mgławicy, która będąc poprzednio w stanie mgławicowego pierścienia otaczającego ziemię, skupiła się w jednę kulę. Przez długi czas kula ta świeciła własnem światłem, była płynną, później utworzyła się przez ostudzenie na powierzchni cienka skorupa, która coraz grubiała i przy dostatecznem poniżeniu temperatury zjawiło się życie organiczne. Lecz księżyc stygł dalej wysyłając swe promienie ciepła na wszystkie strony, nareszcie znikło na nim powietrze i woda, które według wszelkiego prawdopodobieństwa weszły w związki mineralne, tworzące twardą skorupę księżyca, znikło więc i życie organiczne, i w takim stanie starości oglądamy go dzisiaj.

Taki los przeznaczony jest i dla naszej ziemi; lecz nastąpić to może dopiero za lat miliony, gdyż ziemia jest bez porównania większą od księżyca, więc też i więcej czasu potrzebuje na ostygnięcie.

Jednem z najbardziej obecnie selenologów zajmujących pytań, jest to, czy już na księżycu nie zachodzą obecnie żadne zmiany i czy jego powierzchnia nie przekształca się dalej, mimo to, że nie ma tych głównych niszczycieli, których mamy na ziemi, mianowicie wody i powietrza.

Pytanie to nie jest wcale rozstrzygniętem, i pod tym względem panuje między astronomami wielka różnica w poglądach. Większość odrzuca istnienie takich zmian, którebyśmy dostrzedz mogli i powiada, że wszelkie procesa przekształcające powierzchnię już się skończyły, inni znowu, którzy wprawdzie mniejszość stanowią, lecz natomiast należą do najwytrwalszych badaczy księżyca, są zdania wręcz przeciwnego. Jeden z tych ostatnich, pan Edmund Neison, rozbiera to interesujące pytanie w jednym z artykułów: *Quarterly Journal of Sciences* (N. LIII. January 1877 p. 1.); z rezultatami, do których dochodzi, postaramy się zaznajomić naszych czytelników.

Najwybitniejszym dowodem zmiany na powierzchni księżyca jest krater zwany Linneuszem. Wiadomo, że za pomocą dobrego teleskopu najdokładniej widzieć możemy wszystkie góry na księżycu z ich wklęsłościami i wypukłościami, szczególniej jeśli je słońce dobrze z boku oświeca. Na podstawie tego narysowano bardzo dokładne mapy powierzchni księżycowej. Otóż na północno-zachodniej części tarczy księżycowej znajduje się wielka przestrzeń płaska prawie zupełnie, mająca szarą prawie zielonkawą barwę. Płaszczyzna ta, zwana *Mare Serenitatis*, na 430 mil ang. szeroka, ma na swym środku mniej więcej dość wyniosły krater z dawnego wygasłego wulkanu, który na cześć słynnego astronoma nazwano kraterem Bessela. Około tego głównego krateru znajduje się kilka innych znacznie mniejszych. Otóż na wschodniej stronie, ma się, według opisu sumiennego selenografa, Lohrmana, znajdować krater o jasnej barwie, który został nazwany Linneuszem i który ma mieć 5 mil szerokości. W 10 lat potem najznakomitszy niemiecki selenograf Mädler potwierdził obserwacye Lohrmanna i opisał szczegółowo ten krater Linneusza.

Lecz w październiku 1866 ateński astronom, Schmidt, został zdziwiony tem, że w tem miejscu, gdzie powinien był być Linneusz, nie mógł mimo najlepszego oświecenia dostrzedz żadnego krateru. Widać było tylko w tem miejscu jakiś mglisty, obłoczkowaty rysunek na powierzchni księżyca, mający mniej więcej 5 mil średnicy. Obserwowany w następnych wieczorach miał tę samą postać, chociaż często był tak niewyraźny, iż nic prawie widzieć nie było można. Od tego czasu bardzo często zwracali astronomowie uwagę na to miejsce, lecz nikt nie mógł dostrzedz krateru Linneusza, opisywanego przez Lohrmanna i Mädlera. Wyraźny, głęboki krater zniknął zupełnie.

Tam gdzie był Linneusz, widziano, jakeśmy to wspomnieli, jakiś niewyraźny mglisty rysunek; lecz silne teleskopy i dłuższe badania wykryły i dalsze rzeczy. Przy doskonałem słonecznem oświeceniu odkryto małą górkę stożkowatego kształtu, której wysokość zaledwie 100 do 200 stóp wynosić mogła. Wygląda ona tak jak stożek, który się w czynnych wulkanach tworzy, skoro już przeszedł główny wybuch i lawa powoli wycieka, ostyga i układa się nieraz w stożek bardzo wysoki.

Gdy ten stożek po raz pierwszy zobaczono, jego średnica została przez Schmidta, Secchiego i Buckinghama, na mniej więcej $1/4$ do $1/3$ części mili obliczoną. Otóż jeżeli te obliczenia są dokładne, to musiała tam zajść jakaś gwałtowna zmiana, jakiś niespodziewany wypadek, bo niedługo potem miał stożek już całą milę średnicy, a więc trzy razy prawie więcej niż poprzednio. W lipcu 1877 miał on już około 2ch mil. Obecnie otwór kraterowy z góry stożka ma $1\frac{1}{4}$ mil średnicy, średnica stożka u podstawy $2\frac{1}{2}$ mile, a wysokość 200 stóp mniej więcej.

Zmiany zostały więc w każdym razie skonstatowane, lecz ich natury nie potrafiono dotąd objaśnić. Podajemy tu jedno z najbardziej przekonywających przypuszczeń. Kratery na księżycu mają, jak wiadomo, kształt pierścieniowaty. Około głównego otworu wznosi się wał olbrzymi, w kształcie pierścienia mającego nieraz kilkadziesiąt mil średnicy. Wał ten powstał podczas gwałtownego wybuchu, kiedy z otworu wylatywały masy lawy w powietrze, rozsypywały się jak baldachim, i upadłszy utworzyły pierścień gór na około otworu, o ścianach piętrzących się po nad doliną wewnętrzną. Po środku tej doliny był otwór, z której dalej wyciekała lawa, lecz nie z taką gwałtownością jak poprzednia. Późniejszy wypływ lawy był jeszcze słabszy, ostygała ona daleko prędzej i koło otworu zaczął się tworzyć pagórek w kształcie stożka, który rósł w miarę przybywającej lawy. W ten sposób wulkany księżycowe otrzymały swą charakterystyczną postać.

Otóż, wracając do rzeczy, można przypuścić, iż Linneusz, który miał także kształt wyżej opisany, przeszedł przez następującą katastrofę. Wał pierścieniowy, wysoko w górę napiętrzony, zwalił się do środka krateru wskutek jakiegoś wypadkowego nadwerężenia równowagi. W ten sposób wypełniło się całe wnętrze pierścienia, a wystającym po nad gruzy pozostał tylko stożek środkowy. Przy nadzwyczaj sprzyjających okolicznościach atmosfery i oświecenia, widzieć można w doskonałym teleskopie, że powierzchnia stożek otaczająca jest bardzo nierówna i nieregularna. Jednak zupełnej wiary tym obserwacyom dawać nie można, gdyż wymagają one niezmiernie wprawnych badaczy i są zupełnie zależne od stanu atmosfery naszej i oświecenia na powierzchni księżyca.

Drugim przykładem jest zmiana, która zaszła na kraterze zwanym Méssier. W okolicy równikowej księżyca, na tak zwanem Morzu obfitości, znajdują się obok siebie dwie formacye kraterowe, które według Beera i Mädlera mają około 9 mil średnicy. Leżą one na płaszczyźnie i są otoczone niewielkimi wałami i zagłębieniami. Schrötter odkrył te przedmioty i twierdził, że są zmienne co do swego wyglądania. Wskutek tego Beer i Mädler badali przez lat 8 od 1829 do 1837 r. i oświadczyli, że obie formacye Méssier i Méssier A. są zupełnie do siebie podobne. W kilka lat potem, Gruithuisen, znalazł pewną różnicę w postaci obu kraterów; lecz nie zwrócono wtedy na to uwagi. Dopiero później Webb przekonał się, że krater zachodni nietylko że stał się mniejszy, lecz przyjął kształt eliptyczny. Późniejsze badania czynione w r. 1870 do 1875 stwierdziły to całkowicie i wykazały, że podczas gdy Messier A, leżący na stronie wschodniej, pozostał bez zmiany, Messier zachodni przyjął kształt eliptyczny, którego dłuższa średnica wynosi mil 12, a krótsza 7. Różnica obu kraterów jest teraz widoczną nawet w najsłabszych stosunkowo teleskopach, gdy tymczasem Mädler i Beer w najlepszych teleskopach nie widzieli żadnej. Objaśnić tę zmianę nadzwyczaj trudno, lecz nie wpływa to wcale na skonstatowanie faktu; jest on niezbitym. Możnaby było chyba przypuścić, że część wałów z pierścienia okrągłego zwaliła się do środka, a część na zewnątrz, i wskutek tego powstała forma eliptyczna.

Oprócz tych dwu przytoczonych przykładów, możnaby znaleźć jeszcze wiele innych mniej wybitnych, lecz nie tu miejsce rozwodzić się o tem szeroko, więc przejdziemy do opisu innego rodzaju zmian interesujących, odnoszących się do

barwy i jasności pewnych części powierzchni księżycowej.

Najbardziej zajmującym i najdokładniej stwierdzonym przykładem jest zmiana barwy na płaszczyznie tak zwanego Platona. Platon, jestto płaszczyzna okrągła, mająca 60 mil średnicy, zagłębiona wśród płaskowzgórza i otoczona wzgórzami od 3000 do 3500 stóp wysokości. Powierzchnia ta jest zupełnie płaska i tylko gdzie niegdzie wznoszą się na niej strome stożki kraterowe.

Gdy słońce wschodzi, na księżycu ta płaszczyzna Platona ma czystą, szarą barwę, gdy tymczasem otaczające wyżyny są zabarwione na szarożółty kolor. Gdy słońce wznosi się wyżej, płaszczyzna Platona staje się coraz jaśniejszą i nareszcie przyjmuje barwę jasną, szaro-żółtą. Słońce wznosi się coraz wyżej, lecz barwa nie staje się już jaśniejszą, lecz, odwrotnie, ciemniejszą. Kiedy księżyc jest w pełni, Platon ma barwę stalowo-szarą, a niedługo potem staje się prawie czarnym. W tym czasie jest jednym z najciemniejszych przedmiotów na powierzchni księżyca, chociaż 7 dni przedtem był jednym z najjaśniejszych.

Tę zmianę barwy starano się objaśnić złudzeniem optycznem, lecz staranne badania wykazały, iż tak nie jest, i że raczej należy to przypisać istotnym zmianom zachodzącym na powierzchni Platona.

B.

MARYSIA.

PRAWDZIWE OPOWIADANIE WIEŚNIACZKI

przez

ZOFIĘ RUDNICKĄ.

(Dokończenie).

Czy uwierzą pani, że ten jeden tydzień z całego mego życia, gdy biedny Iwan chorował, umierał, gdym go chowała — zdawało mi się, że Fedia już nie kocham, że kochanie moje gdzieś odeszło odemnie i zostawiło mnie podwójną sierotą! Porzucał mnie taki dobry, ach! taki dobry mąż!

Opowiadająca rozrzewniła się i uroniła kilka gorących łez, poświęconych wspomnieniu człowieka, który nie był nigdy kochany uczuciem kochanka, można więc być pewnym, że był dobrym i szlachetnym. Po chwili mówiła dalej: — „U nas, u prostych ludzi, to żeby żal był największy, to trzeba pomyśleć o pogrzebie samemu, bo któż pomyśli. — Szwagier poszedł do księdza i po ludzi, ale o pieniędze ja musiałam się postarać: chleb, wódka, wszystko być musiało.

A tu przednowek, bo jeszcze nie było nowego chleba, gdy się to stało. W skrzyni ani jednego grosza, w komorze ani kwarty mąki. Cóż w takim razie robić, trzeba pożyczyć u żyda i pozwolić mu zapisać procent, jaki tylko sam chce. Fedio przeczuł mój kłopot, przyszedł do mnie raniutko — Iwan w nocy Bogu ducha oddał — i powiada:

— Marysiu! Ty nie masz pieniędzy na pogrzeb i będziesz u żyda pożyczać.

— A cóż mam robić? muszę. — A on na to:

— Przyniosłem tu 50 złr., wiesz, że mam pieniądze, nie potrzebne mi teraz, weź i nie kłopocz sobie głowy!

— Nie, nie, zawołałam, ja go nie mogę chować twoimi pieniądzmi — i zaczęłam strasznie płakać.

— Ale nie będziesz go chować moimi pieniędzmi, tylko swoimi własnymi, bo ty mi oddasz po żniwach, nawet procent policzę sobie.

Ja ciągle płakałam, a on mi perswadował:

— Wszystko ci jedno, gdzie pożyczysz, u żyda, czy u mnie, tylko ja cię tak nie zedrę, jak żyd. Wezmę procent ale uczciwy.

Odrachował 50 złr., położył na skrzyni, a sam wyszedł z chaty. — Pomyślałam sobie, że dobrze mówi — pożyczyć mogę, ale zaraz po żniwach sprzedam do ostatniego ziarnka, z dziećmi cały rok żyć będę z zarobku a oddam mu. Iwana pochowałam tak pięknie, że cała wieś powiedziała, że gdyby był gospodarzem na dwóch gruntach, to jużby piękniejszego pogrzebu*) mieć nie mógł.

Gdy go już nie stało, wszystko się we mnie zmieniło, nawet to co mi się zdawało, że jest mną, nawet moje kochanie dla Fedia. Kochałam go, ale tak jak brata, a czasem myślałam, że matka musi tak kochać dorosłego syna. Przykro mi było, gdym go nie widziała, gdy go nie było przy mnie, ale serce nie biło mi tak jak dawniej, gdy się zbliżał do mnie. I kto wie, czy to moje kochanie nie zostałoby było już na zawsze tak spokojnem, gdyby złość i niepoczciwość ludzka nie była je na nowo zbudziła.

Zaczęli gadać po wsi, z początku po cichu i ukradkiem, potem coraz głośniej i jawniej, że Fedio, Fedio mój struł Iwana, aby się ożenić ze mną, że tak mu było pilno pozbyć się go, iż go pochował swoimi pieniądzmi! Co mi się działo, gdy siostra jego przyszła i powiedziała mi to, wymawiając jeszcze, że przezemnie podali go ludzie na taką ohydę! To trudno, abym pani powiedzieć umiała, pamiętam tylko, że dawne kochanie zbudziło się we mnie, i że od tej chwili nie był mi już ani bratem ani synem, ale tym samym moim ukochanym, tyle lat noszonym w sercu!

A na to tylko, abym nieszczęśliwa powiedziała sobie, że on już nie może być nigdy moim mężem, bo złość ludzka stanęła między mną a nim. On, mój Fedio, pomówiony o tak straszną rzecz! Zdawało mi się, że tylko tem, jeżeli nie pójdę za niego, zdejmę z niego tę potwarz! Ależ pieniądze wzięte na pogrzeb, uczułam, że muszę mu je oddać zaraz natychmiast.

Zostały mi woły, któremi obrabialiśmy nasz kawałek pola, Miesięczny jarmark zbliżał się w miasteczku. Powiedziałam sobie: sprzedam i oddam mu!

Fedio każdego dnia od pogrzebu Iwana przychodził do mnie choć na godzinkę: wszakżeż nieboszczyk zostawił go opiekunem moim. Nic mu nie mówiłam, że wiem, co ludzie gadają na niego i on mnie nic nie wspominał o tem. Aż gdy przyszedł w dzień jarmarku i zobaczył, że się wybieram do miasta i że mam już parobka najętego do pognania wołów, zdziwił się bardzo i zapytał:

— Marysiu! co ty robisz? na co woły sprzedajesz?

Zawołałam go do chaty nie chcąc mówić przy obcym:

— Fediu! powiedziałam, sprzedaję woły, bo muszę oddać ci pieniądze twoje.

— Pan Bóg z tobą! A cóż to tak pilnego? Była przecież umowa, że aż po żniwach, ja teraz nie wezmę; mnie nie trzeba pieniędzy.

— Musisz odebrać dziś jeszcze! Pamiętasz, com ci mówiła, że ty go nie możesz chować twojemi pieniądzmi. Na cóżem ja nieszczęśliwa brała je od ciebie? — On patrzał na mnie, chciał coś mówić i bał się, aż nareszcie powiada:

— Ty już wiesz, co złość ludzka wymyśliła?

— Wiem! — I zaczęłam płakać.

— Kto ci powiedział? zapytał, ale już z gniewem.

Nie chciałam mówić, że siostra jego, że jeszcze na mnie winę składała, bo bałam się, że ją będzie bił, — powiedziałam tylko:

— Ludzie mi domówili. Sam widzisz, że pieniądze musisz odebrać, i weźmiesz Fediu, — prosiłam — jak nie chcesz, żeby mi serce pękło — i zanosiłam się od płaczu.

— Moja Marysiu! moja jedyna! — uspokajał mnie, zrobię, co każesz, ale uspokój się, nie płacz! już tyle napłakałaś się — oczy wypłaczesz.

— Nie nazywaj mnie „swoją“, bo ja już twoją nigdy nie będę — już nas ludzie na wieki rozdzielili!

— Marysiu! Ty mówisz to w wielkim żalu, ale mi pchasz nóż w serce. — Jam płakała.

— Uspokój się, prosił, pieniądze wezmę, kiedy chcesz tego. — Dziś jeszcze, ani za miesiąc nawet nie możesz iść za mąż, bo prawo nie pozwala wdowie do sześciu miesięcy wychodzić za drugiego, — on, choć nie uczony na książce, to wszystko wiedział, — nim ten czas minie, to ludzie przegadają i zapomną, a jam niewinny przed Bogiem i tobą, dlaczegoż w końcu nie miałbym być szczęśliwym?

— Nigdy, nigdy, powtarzałam, gdybym ja poszła za ciebie, toby wtedy powiedzieli: „Patrzcie! struł go, aby wziąć wdowę po nim.“ Nie, nie, wolę umrzeć, a niech nie będzie tego gadania na ciebie.

Widział, że na teraz nic już nie poradzi, prosił więc, chcąc mi rozbić te myśli, żebym się zbierała na jarmark, bo będzie późno — powiedział, że pójdzie także żeby mnie na wołach nie oszukali i żeby mi kto z powrotem przez las pieniędzy nie odebrał.

Woły sprzedałam. Na drugi dzień rano zawołałam wójta, dwóch starszych z gromady i przy nich odrachowałam 50 złr. i oddałam Fediowi. Gdy już odebrał, zwróciłam się do wójta, prosząc, aby porachował, ile przypadnie procentu za trzy niedziele, bo to już było trzy niedziele po śmierci Iwana.

— Jakiego procentu? — zawołał Fedio.

— Umówiliśmy się przecież, że ci zapłacę procent, — odpowiedziałam.

— Marysiu! co też ty mówisz? gdzieżbym procent brał od ciebie, czy to ja żyd?

— Mówiłeś przecie.

— Mowiłem na to, abyś się prędzej odważyła wziąć pieniądze odemnie.

*) U ludu wiejskiego, największą oznaką czci i miłości dla zmarłego jest piękny i okazały pogrzeb.

— Brałam, myśląc, że zapłacę procent, dlatego chcę teraz zapłacić!

— Marysiu! jak mi jeszcze słowo powiesz o procencie, to się pogniewam! zawołał Fedio i poczerwieniał cały. Pierwszy raz w życiu i ostatni był gniewny na mnie. Wójt wdał się także pomiędzy nas, i musiałam ustąpić.

Rozpoczęło się dla mnie nowe życie. Ciężko musiałam zarabiać na wyżywienie dzieci i swoje. Z początku było jako tako, poodbierałam jeszcze przez Iwana pozarabiane pieniądze i z tego żyłam, ale to krótko, bo nie było ich wiele, potem trzeba było samej zarabiać. Gdybym była chciała od Fedia pomoc przyjmować, byłabym miała wszystko, coby tylko dusza zapragnęła, bo on miał duże pieniądze i bywało prosi, zaklina, żebym wzięła, ale ja nie tylko grosza jednego, ale bułki jednej nigdy nie wezmę, aby nie dać ludziom do gadania, nieraz głodem przymieram, a nie wezmę. Już to prawda, że nie pytając się mnie, dzieci moje żywił, karmił, psuł — mogę powiedzieć — nosił im z miasta bułki, pierniki, jabłka, nie broniłam tego, bo i jakże mogłam zabronić, kiedy, bywało, tylko wypuszczę je z rana z chaty, to prosto biegną do niego, a on już czeka na pół drogi z pełnemi kieszeniami. To też mi się ślicznie chowały oboje, a on za niemi ginął.

Minęło nareszcie 6 miesięcy, ale jam powiedziała tak jak wtedy, że nie mogę pójść za niego, bo się złość ludzka zbudzi. Fedio smutny odszedł, a mnie się serce krajało, ale zdawało mi się, żem powinna tak zrobić dla niego, teraz zwłaszcza, gdy ucichła trochę ta szkaradna potwarz. Minęła jesień i zima, Fedio kilka razy odzywał się chcąc mnie przekonać, że ludzie nie warci, aby dla nich być nieszczęśliwymi, ale jam mu odpowiedziała, że to zrobię dla niego, nie dla ludzi. Odszedł znowu smutny, ale czekał jeszcze cierpliwie. A i nie bez tego było, żeby go nie swatali, nie było najmłodszej dziewczyny we wsi, któraby nie poszła chętnie za niego, ale on ani się patrzał na żadną. Sam wójt swatał mu własną córkę, jedynaczkę — nie chciał. I znowu przyszedł przednowek, a ciężki był bardzo dla całej wsi, a cóż dopiero dla mnie. Przy pomocy boskiej przebyłam go, ale Fedio mój nieraz aż ręce łamał, włosy z głowy rwał, żebym przynajmniej choć pomoc przyjęła od niego, ale ja nie mogłam tego zrobić.

Posmutniał, a Bóg jeden widział jak mi było ciężko patrzeć na jego smutek. Zaczęli go ludzie namawiać, żeby za pieniądze przyniesione wykupił ojcowski grunt, który brat w czasie jego niebytności, i spodziewając się że już nie powróci, zastawił na 30 lat.

Ale on powiedział: — Nie chcę tego robić, bo nie wiem jeszcze, jak się ze mną obróci Słyszałam to i coś mnie strasznie w serce tknęło. Nareszcie przyszła znowu jesień, a było to już w półtora roku po śmierci Iwana. Fedio mój przyszedł jednego dnia do mnie jak zwykle. Siadł na ławie i długo nic nie mówił.

Widziałam, że mu bardzo ciężko na sercu — i mnie nie było lekko. W końcu powiada do mnie — Przyszedłem pożegnać cię — ja tak dłużej wyżyć nie mogę. Nie chcesz być moją, nie chcesz iść za mnie, to ja wieś porzucam i idę w świat za oczy, ale pamiętaj, że mnie już nigdy, nigdy nie zobaczysz. Idę dziś jeszcze — zaraz!

Ach! pani, jak sobie, pomyślałam, że mogę go stracić na zawsze, że mogę go nigdy nie widzieć, tak mi się straszno zrobiło, żem zapomniała, że jest świat, że są źli ludzie, rzuciłam mu się na szyję wołając:

— Nie odchodź odemnie, bo ja umrę — dzieci osierocę! — On mnie jak dawniej przycisnął do siebie, ale zaledwie mógł wymówić.

— Moja Marysiu! moja gołąbko! Wiedziałem że się ulitujesz nademną, że mnie nie puścisz świat na poniewierkę!

Na drugi dzień zaniósł na zapowiedzi, a za trzy niedziele wesele odbyło się nasze. Żyjemy już dwunasty rok ze sobą; mamy jednego syna, ale Fedio moje dzieci kocha jak swoje własne, nie chce nawet pamiętać, że nie są jego i zawsze powiada, że wszystko, co ma, podzieli na trzy równe części pomiędzy nich troje.

Jestem taka szczęśliwa, jak już pani mówiłam, jak żadna królowa szczęśliwą być nie może. Iwan, jeżeli to widzi z nieba, to błogosławi mojego Fedia.

Strzałki 20 czerwca 1875.

Koniec.

REFORMACYJNO-SPOŁECZNE PRĄDY
w przedrewolucyjnym okresie
XVIII stulecia.

przez

Dra Bolesława Limanowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Zamojski wywiązał się już w 1778 r. z danego mu polecenia i ogłosił drukiem „Zbiór praw sądowych“ w trzech tomach. W pierwszym tomie poświęcił artykuł XXXI, z dwudziestu sześciu paragrafów złożony, ustawie o chłopach. Wraca on do czasów króla Olbrachta i stanowi, że jeden z synów po ojcu ma być do ziemi przywiązany, innym zaś wolno obierać stan podług swej woli. Mnoży warunki ułatwiające chłopowi uwolnienie: mogło się to stać za wolą pana, jako przedawnienie, skutkiem zbiegostwa z całą rodziną, jeżeli w ciągu roku nie zdołano go odszukać. Uważa podniesienie oświaty ludowej jako rzecz niezbędną i z tego powodu postanawia, ażeby w każdej parafii była szkoła, i do niej dzieci chłopskie płci obojej koniecznie uczęszczały, przynajmniej od św. Marcina do świąt wielkanocnych. Żąda zupełnej rowności wszystkich stanów przed prawem i sądami. Zdąża do podniesienia stanu miejskiego, ułatwiając małżeństwa między szlachtą i mieszczanami. Tego jednak kodeksu nie ośmielono się przedstawić na sejmie 1778 r. i mniemano, że należy poprzednio przygotować do niego umysły, czem się dość gorliwie król i jego stronnictwo za jęli. *Monitor*, który pogrążył się był od dziesięciu lat prawie wyłącznie w same kwestye moralne, od 1779 r. zaczyna znowu żywiej poruszać kwestyą włościańską, mniemając, że „pilnie w to wniknąć należy, co Ezop pod podobieństwem wzgardzonego żołądka w swoich przypowieściach napisał.“ [1]) W lipcu, sierpniu i wrześniu 1780 r. gorliwie się zajmuje chłopami, przypomina szlachcie prawa Kazimierza Wielkiego i woła: „Bodajby nigdy nie miało miejsca stare przysłowie o Polsce: Polonia est paradisus judaeorum, infernus rusticorum, purgatorium plebeiorum, dominatus famulorum etc. Daj Panie, aby to w Polsce teraz i potem nie było.“ [2])

Pokazało się atoli, że ogół szlachecki szczerze i gruntownie nie brał do serca myśli postępowych. Na sejmie 1780. r. który zebrał się drugiego października, z powodu ustaw Zamojskiego powstała straszna wrzawa, i odrzucono je 2. listopada z żądaniem, aby „się i wspomnienie o nich o uszy nasze ani potomków naszych nie obiło“, piętnując przytem samego zakonodawcę jako zdrajcę i zaprzedańca.

Ustawa Zamojskiego wywołała całą literaturę broszurową, która zniknęła wprawdzie w falach zapomnienia, lecz w swoim czasie wyjaśniała kwestyą i zajmowała nią umysły. W szeregu szermierzy w sprawie nowych zasad pojawił się przytem nowy dzielny bojownik, a był nim ks. Piotr Świtkowski, który w 1783 r. rozpoczął wydawać w Warszawie: *Pamiętnik polityczny i historyczny*. Pismo to ze szczególną gorliwością notowało przykłady, przemawiające za zniesieniem poddaństwa. [3]) Zjednało nawet sobie w tym względzie ustaloną opinię, tak że w sprawie włościan udawano się do redakcyi, jako najwięcej dbałej o ich interesa, czego dowodem, że pewny obywatel złożył w niej 50 czerwonych złot. na napisanie 4ch książeczek dla kmieci. Ile wiem, była to pierwsza świadoma myśl o stworzeniu ludowej literatury. Lecz największe wrażenie, prawdziwie silne, sprawiło dzieło, które wyszło w 1785 r. bezimiennie p. t. „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego“. Poświęcając swoją pracę stanowi rycerskiemu, autor zapytuje, gdzież jest ten mąż, który potrafi wykonać dzieło ratowania Rzeczypospolitej? „Komu go w Polsce dzisiaj powierzyć? — Andrzejowi Zamojskiemu? — Ten za moich czasów najcnotliwszy w Polsce obywatel, w danym projekcie do prawa tylko zalecał sprawiedliwość dla wszystkich ludzi, a już w niebacznym narodzie utracił zaufanie; głupia niewiadomość nie umiała rozróżnić prawdy od błędu; przyjaciela ludzi nazwano nieprzyjacielem Polaków.“

Czem był Wybicki przed sejmem 1780 r. tem Staszic przed sejmem 1788 r.; z tą ważną atoli różnicą, że ostatni w żądaniach swych posunął się o wiele dalej od pierwszego. Jakby w sennym obrazie skreśliwszy w kilku rysach jaskrawych, ale prawdziwych, popełniane gwałty w Rzeczypospolitej i nad Rzecząpospolitą, płomiennemi głoskami pisze dla niej przestrogę: „Jakież to praw straszydło! — Niewola, gwałt, bezżeństwo, publiczne cudzego majątku odzierstwo, prawem upoważnione! Takie barbarzyństwo w ośmnastym wieku! Rzeczpospolita z takiemi prawami, mając sąsiadem cesarza i króla pruskiego, czyliż długo utrzymywać się sądzi?“ [4]) „Bez odmiany poddaństwa rolnika, doczesne są wszystkie inne w Rzeczypospolitej odmiany. Bo tylko stan chłopski, dla tak niezmiernych wojsk,

---

[1]) N. XXXVIII. Str. 293.

[2]) N. LXI, str. 577.

[3]) Wskazałem już poprzednio na kilka artykułów podobnego rodzaju.

[4]) Str. 90. Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego— dzieło Stanisława Staszica. Wydanie Kazimierza Józefa Turowskiego. Kraków, 1861.

jakich dzisiaj obrona kraju potrzebuje, może dostarczyć żywności i ludzi. Wszystkie te odmiany jak prędzej uskuteczniać potrzeba. Ta rzecz zwłoki nie cierpi. Choroba jest gwałtowna, trzeba lekarstw gwałtownych. Opieszałemu lekarzowi chory skona przed czasem [1]“. Staszic dla wszystkich stanów żąda wolności osobistej i równości przed prawem. Podług niego, chcąc podnieść miasta do dawnej szczęśliwości, należy przywrócić im wolność a nadto uchwalić, aby główniejsze miasta, z przyległemi miasteczkami znosząc się, wysyłały posłów na sejm. Szlachcic, bez utraty szlachectwa, może zajmować się handlem i rzemiosłem. Prawo powinno określić wzajemne powinności chłopa i dziedzica; powinno uwolnić od poddaństwa chłopskie dzieci, a na to miejsce zapewnić dla Rzeczypospolitej jednego syna na służbę wojskową. Uważa jednak nasz autor, że tylko stan szlachecki może mieć prawo do urzędów cywilnych; do urzędów atoli wojskowych trzeba przypuścić wszystkich. Uwagi Staszica wywołały cały szereg innych uwag (Uwagi nad uwagami) i myśli (Myśl z okazyi uwag nad uwagami nad życiem Zamojskiego), które zwłaszcza mnożyły się podczas sejmu czteroletniego.

Wypada jeszcze wymienić dwie rozprawy, które pojawiły się w 1788 r. w chwili przygotowań do sejmu. Jedną z nich jest dziełko, bardzo dobrze napisane, p. t. „O poddanych polskich;“ drugą — „Odpowiedź na pytanie“. Autor pierwszego dziełka z wielką gruntownością rozbiera sprawę poddaństwa włościan i wykazuje, co tracą na tem sami panowie a przedewszystkiem Rzeczpospolita. „Kraj — powiada — przyrównać można do ciała, którego członkami są obywatele. Wiemy, że w niemocy jednego członka cierpi ciało, jakże dopiero słabe być musi, gdy jest przewaga chorych nad zdrowszych. Poddani nasi są najfundamentalniejsze podstawy, na których wspiera się ciało, te gdy tak nikczemne, jakże się ciało utrzymać może?—I chociaż podpora jaka go wspiera, jednakże chwiejąc się stoi, bo w sobie niemocne [2]“.

Sejm czteroletni należy już właściwie do epoki rewolucyjnej nietylko ze względu na czas, ale także i ze względu na wpływy, jakie wywierała nań rewolucya francuska 1789 r.

Podczas gdy w Europie rosło napięcie pragnień rewolucyjnych, na drugiej półkuli ziemskiej, w Ameryce, rozległy się pierwsze łoskoty gotującej się walki o wolność.

Rozpoczynała się ona w chwili nader dla niej przyjaznej. Wszystkie szlachetniejsze umysły z zapałem ją witały, nawet dwory monarchiczne okazywały jej nieraz demonstracyjne swoje współczucie. W samej Anglii sprawa amerykańska stała się przedmiotem walki parlamentarnej, w której występowali z jednej strony jako przedstawiciele despotyzmu, król Jerzy III i jego minister lord North, z drugiej strony utalentowani szermierze wolności, jak William Pitt starszy (późniejszy lord Chatham), Sheridan, Burke, Fox, Cambden, Rockingham. Zasady rozsiewane przez francuskich wolnomyślicieli w pismach, odzywały się teraz w świetnych parlamentarnych mowach.

(Dok. n.)

[1]) Str. 144. Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego.
[2]) Str. 62. O poddanych polskich, 1788.

O LOTERYI LICZBOWEJ

na podstawie rachunku prawdopodobieństwa

napisał

Antoni Fogt.

(Ciąg dalszy.)

Z ilukolwiek danych liczb 1, 2, 3, 4, 5 itd. można zawsze ułożyć grupy, czyli kombinacye, zawierające po dwie, po trzy, cztery, pięć itd., czyli amba, terna, kwaterna, kwinterna itd. Np. z sześciu liczb 1, 2, 3, 4, 5, 6, mamy:

a) 15 amb:

1, 2	2, 3	3, 5
1, 3	2, 4	3, 6
1, 4	2, 5	4, 5
1, 5	2, 6	4, 6
1, 6	3, 4	5, 6

b) 20 tern:

1, 2, 3	1, 3, 5	2, 3, 4	2, 5, 6
1, 2, 4	1, 3, 6	2, 3, 5	3, 4, 5
1, 2, 5	1, 4, 5	2, 3, 6	3, 4, 6
1, 2, 6	1, 4, 6	2, 4, 5	3, 5, 6
1, 3, 4	1, 5, 6	2, 4, 6	4, 5, 6

c) 15 kwatern:

1, 2, 3, 4	1, 2, 5, 6	2, 3, 4, 5
1, 2, 3, 5	1, 3, 4, 5	2, 3, 4, 6
1, 2, 3, 6	1, 3, 4, 6	2, 3, 5, 6
1, 2, 4, 5	1, 3, 5, 6	2, 4, 5, 6
1, 2, 4, 6	1, 4, 5, 6	3, 4, 5, 6

d) 6 kwintern:

1, 2, 3, 4, 5	1, 2, 4, 5, 6
1, 2, 3, 4, 6	1, 3, 4, 5, 6
1, 2, 3, 5, 6	2, 3, 4, 5, 6

Przyjrzawszy się tym przykładom kombinacyj, widzą czytelnicy, iż aby ułożyć amba, trzeba do każdej z kolei liczby dopisywać wszystkie po niej następujące. Aby otrzymać terna, trzeba znów do każdego amba dopisywać każdą z liczb następujących po jego liczbie końcowej. Dla otrzymania kwatern, trzeba podobnie postępować z ternami, zaś dla kwintern, z kwaternami.

Czytelnicy niech się nauczą układania kombinacyj z trzech, czterech, pięciu i dziesięciu liczb podług podanego sposobu, szczególniej zaś z liczb dziesięciu 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10. Liczba żądanych kombinacyj z *n* liczb, czyli z ilukolwiek, oblicza się podług następujących wzorów:

1) $\frac{n\,(n-1)}{1\cdot 2}$ — liczba amb.

2) $\frac{n\,(n-1)\,(n-2)}{1\cdot 2\cdot 3}$ — liczba tern.

3) $\frac{n\,(n-1)\,(n-2)\,(n-3)}{1\cdot 2\cdot 3\cdot 4}$ liczba kwatern.

4) $\frac{n\,(n-1)\,(n-2)\,(n-3)\,(n-4)}{1\cdot 2\cdot 3\cdot 4\cdot 5}$ liczba kwintern.

Np. z dziesięciu liczb mamy:

1) $\frac{10\,(10-1)}{1\cdot 2} = 45$ amb.

2) $\frac{10\,(10-1)\,(10-2)}{1\cdot 2\cdot 3} = 120$ tern.

3) $\frac{10\,(10-1)\,(10-2)\,10-3)}{1\cdot 2\cdot 3\cdot 4} = 210$ kwatern.

4) $\frac{10\,(10-1)\,(10-2)\,(10-3)\,(10-4)}{1\cdot 2\cdot 3\cdot 4\cdot 5} = 252$ [kwinterna.

Spisawszy amba, terna, kwaterna i kwinterna z dziesięciu liczb, niech sobie urządzą czytelnicy następującą grę na wzór loteryi liczbowej rządowej, która to gra może im służyć za zabawę towarzyską. Mianowicie włóżmy w woreczek dziesięć gałek loteryjnych z liczbami 1, 2 do 10, wyciągajmy z nich po jednej aż do pięciu i obrachowujmy jakie będzie prawdopodobieństwo wygrania, gdy kto postawi jeden, dwa, trzy, cztery lub pięć numerów.

1) Postawiwszy jeden numer np. 3, zrachujmy kwinterna, do których on wchodzi, a otrzymamy liczbę kwintern sprzyjających wygraniu. Znajdziemy ich 126, których to liczbę dzieląc przez liczbę wszystkich kwintern, czyli przez 252, otrzymamy na prawdopodobieństwo wygrania $\frac{1}{2}$. Bo ponieważ wyciągamy za każdym razem pięć liczb, to te muszą tworzyć jedno z 252 kwintern. Jeżeli więc wyjdzie jedno z tych kwintern, w których się znajduje postawiona liczba, tośmy wygrali, w przeciwnym razie przegrywamy. Ułamek $\frac{1}{2}$, możemy także otrzymać, dzieląc wprost liczbę 5 przez 10, tj. liczbę numerów wyciąganych, przez liczbę wszystkich. Jakoż tak powinno być, bo gdyby wyciągano wszystkie numera, mielibyśmy zupełną pewność wygrania, że zaś wyciągają tylko pięć tj. połowę, przeto musimy też mieć tylko pół tej pewności. Zatem wyciągane numera figurują jako sprzyjające wygraniu.

2) Przy postawieniu dwóch np. 2 i 6, możemy się spodziewać wyjścia obu razem, albo przynajmniej jednego z nich. Policzywszy kwinterna zawierające oba razem, znajdziemy ich 56 jako sprzyjających wygraniu amba. Dzieląc teraz 56 przez 252, otrzymamy jako prawdopodobieństwo wygrania amba, $\frac{56}{252}$ czyli $\frac{2}{9}$. Chcąc zaś znaleść prawdopodobieństwo wygrania przynajmniej jednego z postawionych numerów, musimy policzyć tak te kwinterna, które zawierają oba razem, jak i te, które zawierają je tylko po jednym. Pierwszych mamy 56, drugich znajdziemy 140, czyli razem wszystkich 196, którą to liczbę dzieląc przez 252, otrzymamy $\frac{196}{252}$ czyli $\frac{7}{9}$.

Pierwsze prawdopodobieństwo moglibyśmy otrzymać i w ten sposób: mianowicie, ponieważ z 10 liczb jest 45 amb, a wyciągamy pięć liczb, czyli 10 amb, przeto jest 10 sprzyjających między 45ma. Dzieląc więc 10 przez 45, otrzymamy także $\frac{2}{9}$.

3) Postawiwszy trzy liczby np. 2, 6, 7, możemy wygrać znów albo wszystkie trzy, czyli terno, albo dwie czyli ambo, albo przynajmniej jedną. Znajdziemy między kwinternami sprzyjających dla terna — 21, dla amba — 126, dla jednego numeru—231. Dzieląc teraz każdą z tych liczb przez 252, znajdziemy:

1) $\frac{1}{12}$ jako prawdopodob. wygrania terna,
2) $\frac{1}{2}$ — dla amba,
3) $\frac{11}{12}$ — dla jednego numeru.

Pierwsze prawdopodobieństwo otrzymamy także, dzieląc 10 przez 120, tj. liczbę tern z pięciu wyciąganych liczb, przez liczbę tern z dziesięciu. Jakoż jest: $\frac{10}{120} = \frac{1}{12}$.

4) Postawiwszy cztery liczby np. 2, 6, 7, 10 znajdziemy między kwinternami: 6 dla kwaterna, 66 dla terna, 186 dla amba i 246 dla jednego numeru. Będziemy więc mieli jako prawdopodobieństwa:

1) $\frac{1}{42}$ — dla kwaterna, 2) $\frac{11}{42}$ — dla terna, 3) $\frac{31}{42}$ — dla amba i 4) $\frac{41}{42}$ — dla jednego przynajmniej numeru.

5) Nareszcie przy postawieniu pięciu liczb otrzymamy:

1) $\frac{1}{252}$ — dla kwinterna, 2) $\frac{13}{126}$ — dla kwaterna, 3) $\frac{1}{2}$ — dla terna, 4) $\frac{113}{126}$ — dla amba i 5) $\frac{251}{252}$ — dla jednego numeru.

Należy tu jeszcze dodać, że gdyby kto postawił jeden numer i oznaczył miejsce, na któ-

rem on ma wyjść, to prawdopodobieństwo wynosiłoby tylko $\frac{1}{10}$, gdyż tym sposobem z pięciu sprzyjających wygraniu, robi sobie grający tylko jeden.

Zamiast układać pierw wszystkie kwinterna i rachować dopiero między niemi sprzyjające, co przy większej loteryi byłoby niemożebnem, lepiej jest te ostatnie obliczać, a to następującym sposobem. Mianowicie, między kwinternami znajdują się takie, które zawierają tylko po jednej z postawionych liczb, lub tylko po dwie, po trzy, cztery lub po pięć, stosownie do tego ileśmy liczb postawili. Przypuśćmy np. żeśmy postawili 4 liczby. Odejmijmy 4 od 10, otrzymamy 6. Znajdźmy teraz liczbę kwatern z 6 numerów, i pomnóżmy ją przez 4, tj. przez liczbę postawionych numerów, otrzymamy liczbę kwintern zawierających po jednej z postawionych liczb. Jakoż z 6 liczb jest 15 kwatern, więc będzie żądanych kwintern 60.

Aby znów otrzymać liczbę kwintern, zawierających tylko po dwie z postawionych liczb, znajdźmy liczbę tern z 6ciu, liczbę amb z 4ech i pomnóżmy jedną przez drugą. Jakoż z 6ciu liczb jest 20 tern, z 4ech jest 6 amb, co pomnożone, daje 120. Obliczmy dalej liczbę amb z 6ciu, a liczbę tern z 4ech, i pomnóżmy otrzymamy 60 kwintern zawierających po trzy z postawionych liczb.

Dla otrzymania nareszcie liczby kwintern zawierających wszystkie cztery postawione numera, musimy znów obliczyć z 6ciu liczbę kombinacyj zawierających tylko po jednej, których naturalnie musi być tylko 6, i pomnożyć ją przez liczbę kwatern z czterech czyli przez 1, (gdyż z czterech liczb może być tylko jedno kwaterno), zkąd otrzymamy 6 żądanych kwintern. Dodawszy teraz wszystkie otrzymane liczby: 60, 120, 60, 6, otrzymamy 246 kwintern sprzyjających wygraniu przynajmniej jednego numeru; dodawszy tylko trzy ostatnie, otrzymamy 186 sprzyjających dla wygrania amba; potem dodawszy dwie ostatnie, znajdziemy liczbę kwintern sprzyjających dla terna, i nareszcie liczba 6 da nam liczbę kwintern sprzyjających wygraniu kwaterna.

Dzieląc teraz każdą z liczb: 246, 186, 66 i 6 przez 252, otrzymamy znane nam już prawdopodobieństwo: $\frac{41}{42}$, $\frac{31}{42}$, $\frac{11}{42}$, $\frac{1}{42}$. Widzimy więc, że prawdopodobieństwo wygrania powiększa się z liczbą postawionych numerów.

Oprócz stopni prawdopodobieństwa są tu jeszcze godnemi uwagi liczby ciągnień czyli peryody, w których już wszystkie powinneby wyjść czy to pojedyncze numera, czy którekolwiek kombinacye, czyli za którem ciągnieniem najdalej powinnoby się wygrać. Gdyby każdego ciągnienia coraz inne wychodziły, czy to pojedyncze numera, czy kombinacye, to możnaby te peryody odrazu odczytać z otrzymanych powyżej prawdopodobieństw. I tak np.:

1) Jeden numer postawiony pojedynczo powinien najdalej wyjść w drugiem ciągnieniu.

2) Ambo (przy postawieniu dwóch tylko numerów) powinno wyjść najdalej w piątem ciągnieniu.

3) Terno (przy postawieniu trzech numerów) powinno wyjść najpóźniej w dwunastem ciągnieniu, itp.

Lecz takie krótkie peryody miałyby wtedy tylko miejsce, gdyby, jak to już mówiliśmy, każdego ciągnienia coraz inne wychodziły, czy to pojedyncze numera, czy kombinacye. Że zaś często się zdarza w loteryi, że niektóre numera, także i kombinacye niedługo wychodzą po ostatniem wyjściu, choć im się nie należy, czyli że się powtarzają, przeto termin wyjścia dla drugich musi się oddalać, zatem i liczba ciągnień, w których wszystkie wychodzą, musi się powiększać. Liczby tej obliczyć nie można, ale daje się obliczyć prawdopodobieństwo, że wszystkie już czy to pojedyncze numera, czy kombinacye w takiej a takiej liczbie ciągnień wyjdą. Np. dla tern (przy postawieniu trzech liczb) po stu ciągnieniach otrzymujemy na prawdopodobieństwo ułamek $\frac{997}{1000}$, co równa się prawie pewności, czyli że terno przy postawieniu trzech liczb może wyjść dopiero na pewno około setnego ciągnienia, zamiast około dwunastego.

Dla terna z czterech liczb otrzymujemy po dziesięciu ciągnieniach ułamek $\frac{78}{100}$, co także nie wiele różne od jedności, czyli że terno w tym razie pokazać się może na pewno dopiero między dziesiątem a piętnastem ciągnieniem, zamiast najdalej w czwartem itp. Obliczeń tych peryodów nie możemy tu czytelnikom podawać, gdyż byłyby dla wielu niezrozumiałemi i trudnemi do wykonania. (Dok. nast.)

Z Heinego.

Widzę cię zawsze we snach nocnych moich,
Jak przyjacielskie szlesz mi powitanie,
Z płaczem upadam do drogich stóp twoich,
Z piersi mej głośne wyrywa się łkanie.
Spoglądasz na mnie tak jakoś boleśnie,
Pochylasz główkę twoją jasnowłosą,
Widzę wyraźnie, chociaż tylko we śnie,
Jak z ócz spadają łzy perłową rosą.
Tajemnem słowem odzywasz się do mnie,
Gałąź cyprysu dajesz mi do ręki,—
Nie ma gałązki gdy się oprzytomnię,
Słowa zapomnę przy blasku jutrzenki.

Joanna S.

Z E. Geibla.

Kiedym upadał w smutku i boleści,
To dnie i noce całe przepłakałem,
Dziś szczęścia mego serce nie pomieści,
I znów się łzami zalałem.
I zdaje mi się, że w mej piersi noszę
Wszystko, co wiemy o niebie;
Najcięższa boleść, najwyższe rozkosze,
Jakże zbliżone do siebie!

Joanna S.

Po mojej matki

z Tomasza Moora

Mówią nam ludzie, że w Indyan krainie
Jest osobliwszy jeden rodzaj drzewa,
Klimat mu sprzyja, ale ono słynie
Z tego, że chociaż słońce je ogrzewa,
W górę nie strzeli konary swojemi,
Miłośnie na dół pochyla ramiona,
Wdzięcznie się skłania ku tej drogiej ziemi,
Bo życie, ciepło, z jej wyczerpał łona.
Tak choć przyjaciół otoczą mnie roje,
Zwodnicza sława swój promień mi rzuci,
To zawsze, matko! tęskne serce moje,
W szczerej miłości ku Tobie się zwróci.

Joanna S.

Z Redwitza.

Serce ma wiecznej przywilej młodości,
A komu ona życie opromienia,
Rankiem ma walki i szczęście miłości,
Wieczorem skarby wspomnienia.

Joanna S.

CZARNE INDYE.

przez

JULIUSZA VERNE.

przełożył z francuzkiego

Arkadyusz Kleczewski.

(Ciąg dalszy).

XIV.

Na jednym włosku.

Wobec takich warunków, osiągnąwszy cel swoich życzeń, rodzina starego obermana mogła być zupełnie szczęśliwą. Dawało się jednak spostrzegać, że Henryk, z natury już poważnego usposobienia, stawał się z każdym dniem coraz posępniejszym i, jak mówiła Madge, „zamykał się“ sam w sobie. Jakób Ryan nawet, pomimo wesołego swego, tak łatwo udzielającego się charakteru, nie zdołał „otworzyć“ swego przyjaciela.

Pewnej niedzieli— było to w miesiącu czerwcu — dwaj przyjaciele przechadzali się nad brzegiem jeziora Malcolm. *Miasto węgla* świętowało. Na zewnątrz szalała burza; gwałtowny deszcz wydobywał z rozpalonej ziemi gęste tumany mgły, niedozwalającej oddychać swobodnie.

W Coal-City tym czasem panowała cisza zupełna, temperatura łagodna, ani deszczu ani wiatru. Rozhukane na powierzchni ziemi żywioły, nie miały tu żadnego przystępu. Dość znaczna też liczba osób ze Stirlingu i innych sąsiednich miejscowości, przybyła do kopalni użyć cokolwiek świeżego powietrza.

Tarcze elektryczne rozlewały na okół silne światło któregoby niezawodnie pozazdrościło im wielkobrytańskie słońce, bardziej zachmurzone aniżeli to przystoi porządnemu niedzielnemu słońcu.

Jakób Ryan zwracał uwagę swojego towarzysza na ten napływ świątecznych gości; ale Henryk nie zdawał się najmniejszej zwracać uwagi na słowa przyjaciela.

— Spojrzyj no, Henryku — zawołał Jakób— jak im się tu podobało u nas. Co niedzielę więcej ich przybywa. Ale co tam! porzuć twe smutne myśli, abyś lepiej mógł spełniać obowiązki gospodarza domu. Inaczej gotowi by jeszcze pomyśleć ci ludzie z pierwszego piętra, że my tu, w suterenach, mamy im cokolwiek do pozazdroszczenia!

— Proszę cię, mój Jakóbie — odparł Henryk, zostaw mnie w spokoju. Jesteś wesół za dwóch, to powinno wystarczyć.

— Niech mnie stary Nick porwie! — obruszył się Jakób — jeżeli w końcu i mnie samemu nie udzieli się twoja melancholia! Oczy już mi się chmurzą, usta się wykrzywiają, śmiech więźnie gdzieś w gardle, najulubieńszych nawet śpiewek przypomnieć sobie nie mogę! — Powiedz mi na prawdę, Henryku, co tobie jest?

— Wiesz przecie.

— Zawsze ta sama myśl?

— Zawsze.

— Biedny człowieku! — odpowiedział Jakób, wzruszając ramionami — gdybyś tak jak ja zaliczył całą tę sprawę na karb duchów, uspokoiłbyś się od razu.

— Wiesz dobrze, Jakóbie, że duchy istnieją w twojej tylko wyobraźni i że od czasu ponownego rozpoczęcia eksploatacyi, ani jednego z nich nie widziano w Nowej Aberfoyle.

— Niech i tak będzie! ale zdaje mi się, że

jeżeli duchy się nie pokazują, to tak samo i owe istoty, którym uwziąłeś się przypisywać wszystkie nadzwyczajne nasze wypadki, również się nie pojawiają.

— Już ja wynajdę je!

— Oho, mój Henryku! nie tak to łatwo podejść sylfów opiekujących się Nową Aberfoyle.

— Sylfy czy nie sylfy, a schwytać ich muszę — zawołał Henryk z wyrazem wewnętrznego głębokiego przekonania.

— Zamierzasz więc ich ukarać?

— Ukarać, Jakóbie, i wynagrodzić. Nie zapomnę bowiem nigdy o tem, że jeżeli jedna ręka zamknęła nas w tej galeryi, za to druga pospieszyła nam z pomocą.

— Czy jesteś tylko pewnym, mój drogi, że obie te ręce nie należą do jednej i tej samej osoby?

— A to co znowu? zkądże ci przyszła taka myśl dziwaczna do głowy?

— Oto... widzisz... Henryku... zdaje mi się, że istoty mieszkające w przepaścistych otchłaniach, nie mogą być do nas zwykłych ludzi podobne.

— Zapewniam cię, że niczem się od nas nie różnią.

— A ja ci powtarzam, że się mylisz, mój kochany. Zresztą, można przypuszczać, że jaki waryat dostał się do kopalni..

— Waryat!... odpowiedział Henryk. — Czyżby waryat postępował z taką konsekwencyą! Miałżeby być waryatem niegodziwiec, co zacząwszy od zniszczenia drabin w szybie Yarow, usiłował szkodzić nam na każdym kroku!

—Ale czy nie widzisz, że już przestał? Od trzech lat, jak tu stale przebywamy, nie wydarzył się ani jeden przypadek usiłowanego zamachu przeciw naszemu bezpieczeństwu.

— Mniejsza o to, Jakóbie. Mam jakieś tajemne przeczucie, że złośliwa ta istota, ktokolwiek nią jest, nie wyrzekła się swoich zamiarów. Na czem opieram moje twierdzenie, nie mogę ci tego wyjaśnić — tyle ci tylko powiem, że dla dobra całej eksploatacyi, muszę się dowiedzieć kto jest tym tajemniczym wrogiem naszym, czego chce tutaj i dokąd zmierzają podstępne jego czyny.

— Dla dobra eksploatacyi? — zapytał zdumiony Jakób.

— Tak jest, Jakóbie — potwierdził Henryk. — Nie wiem czy się nie mylę, ale w całej w tej sprawie upatruję interes wprost przeciwny naszym interesom. Nieraz nad tem rozmyślałem i mniemam, że podejrzenia moje są słuszne. Przypomnij tylko sobie cały szereg niewyjaśnionych dotąd faktów, ściśle wiążących się jeden z drugim. Ów list bezimienny, równocześnie wyprawiony z listem mojego ojca, jest pierwszym dowodem, że był ktoś taki, co znał naszą tajemnicę i nasze projekta i usiłował nie dopuścić do ich wykonania. Pan Starr przybywa następnie do nas. Zaledwie wprowadziłem go do komory Dochart, spada tuż obok nas olbrzymi kamień, a zaraz po naszem odejściu, niewidzialna ręka niszczy drabiny w szybie Yarow. Udajemy się na odszukanie nowych pokładów węgla. Doświadczenie z gazem błotnym, mające nas przekonać o istnieniu węgla, staje się niemożliwem wskutek umyślnego zalepienia otworów w łupkowej ścianie. Pomimo tego, robimy próbę i odnajdujemy bogate żyły węgla. Osiągnąwszy nareszcie cel naszej wyprawy, powracamy do domu. Silny przewiew wiatru, niewiadomo czem spowodowany gasi i rozbija naszą lampę. Ciemności ogarniają nas. Pomimo tego, postępujemy dalej... nie znajdujemy wyjścia z galeryi.. zaparto je. Żywych, zamknięto nas w grobie... I cóż, Jakóbie? i ty jeszcze nie widzisz w tem wszystkiem występnej myśli? O tak! nieujęta dotąd istota, ale nie duch, jak ty chcesz utrzymywać, ukrywała się w kopalni. W celach, których dotąd odgadnąć nie mogę, osoba ta starała się tamować nam przystęp do podziemnych skarbów. A przeczucie szepcze mi, że tajemny wróg nasz po dziś dzień przebywa tutaj i kto wie czy nie gotuje nam jakiego strasznego ciosu! — Otóż, posłuchaj mnie Jakóbie! chociażby mnie to życie kosztować miało, muszę wynaleźć złoczyńcę!

Henryk mówił tak przekonywająco, że Jakób musiał przyznać mu słuszność – przynajmniej co do przeszłości. Czy fakta te były dziełem ręki ludzkiej czy też istoty nadprzyrodzonej, w każdym razie niepodobna im było zaprzeczyć.

Jakób rozumiał to dobrze, trudno mu jednak było wyrzec się odrazu swojego sposobu widzenia rzeczy. Pojmując przecież, że Henryk nie zgodzi się na przypisanie całej tej sprawy działaniom złych duchów, uważał za właściwe oprzeć swoją opozycyę na jednym fakcie, stojącym w zupełnej sprzeczności z nieprzyjaznemi objawami wymierzonemi przeciw rodzinie Fordów.

— Wysłuchaj mnie, Henryku — rzekł — jeżeli pod pewnym względem nie mogę nie przyznać ci słuszności — czy ze swej strony, nie zgodziłbyś się ze mną, że jakiś duch dobroczynny, przynosząc wam chleb i wodę, pragnął ocalić was...

— Duch dobroczynny — przerwał mu Henryk — istnieje mój Jakóbie, tak samo jak i ów niegodziwiec — obydwóch ich też postanowiłem wyszukać, chociażby mi przyszło zbadać w tym celu najgłębsze otchłanie kopalni!

— Ale czy masz jakikolwiek ślad, któryby ci ułatwił poszukiwania? — zapytał z współczuciem Jakób.

— Być może, że i ślad się znajdzie. — W odległości pięciu mil ztąd, w zachodniej stronie kopalni, znajduje się wśród pokładów węgla, głęboka studnia, przez samą naturę utworzona. W zeszłym tygodniu chciałem zmierzyć głębokość tej studni; otóż kiedy zanurzając sondę nachyliłem się nad otworem studni, zdawało mi się jak gdyby w głębiach jej olbrzymie jakieś skrzydła przerzynały powietrze.

— Mógł to być ptak jaki, co wpadłszy przypadkowo do studni, usiłował wydobyć się z niej — zauważył Jakób.

— To nie wszystko jeszcze — mówił dalej Henryk, nie zważając na przerwę.—Dziś rano poszedłem tam znowu, i nadstawiwszy ucha, usłyszałem jakieś niewyraźne jęki...

— Jęki! — zawołał Jakób Ryan. — To niepodobna! zdawało ci się chyba!...

— Jutro dowiem się z pewnością, co mam sądzić o tem.

— Jutro?

— Tak jest, bo jutro spuszczę się do tej studni.

— Henryku, zastanów się, na miłość Boską!

— Jużem się zastanowił, a Bóg dopomoże mi do wykonania mego postanowienia. Jutro pójdziemy obydwaj do tej studni, w towarzystwie kilku z naszych towarzyszów. Długa lina którą się obwiążę, dozwoli wam spuścić mnie i wyciągnąć napowrót za danym znakiem. — Spodziewam się, że mogę liczyć na ciebie, Jakóbie?

— Wiesz dobrze, Henryku — odpowiedział Jakób, potrząsając głową — że uczynię wszystko co tylko zechcesz — ale wierzaj mi, mój przyjacielu, że jesteś na błędnej drodze.

— Lepiej raz zbłądzić — rzekł stanowczym głosem Henryk — aniżeli całe życie mieć sobie do wyrzucenia, że się zawahało przed stanowczym krokiem. Do widzenia, mój drogi, jutro o szóstej rano. A tymczasem, proszę cię, ani słowa przed nikim. Bądź zdrów — do zobaczenia — jutro.

I żeby nie przeciągać rozmowy, w której Jakób usiłował by niezawodnie odradzić mu spełnienie zuchwałego projektu, Henryk opuścił spiesznie swego przyjaciela i wrócił do domu.

Należy jednak oddać słuszność Jakóbowi, że obawy jego nie były zupełnie bezzasadne. Bo jeżeli Henryk rzeczywiście miał osobistego nieprzyjaciela, czyhającego na jego życie, w takim razie mógłby się z nim spotkać w studni i narazić się na groźne niebezpieczeństwo — chociaż z drugiej znów strony, kilkoletni spokój usuwał w części podobne przypuszczenia.

Zawsze to przecież dziwactwo — powtarzał ciągle Jakób — żeby zadawać sobie tyle trudów dla zbadania kilku faktów, które tak łatwo zaliczyć można na karb duchów!

Pomimo takiego poglądu, Jakób Ryan znalazł się nazajutrz na umówionem miejscu w towarzystwie trzech górników ze swojego oddziału, i wraz z Henrykiem udali się do podejrzanej studni.

Henryk nic nie mówił o swoim projekcie ani ojcu ani inżynierowi; Jakób również zachował milczenie, inni przeto górnicy widząc ich oddalających się, sądzili że wybrali się tylko na zwykłą wycieczkę w celu zbadania głębokości pokładów węgla.

Młody Ford wziął z sobą nie zbyt grubą ale mocną linę, długą na dwieście stóp, na której towarzysze spuścić go mieli w głąb studni i wyciągnąć z niej gdy uzna tego potrzebę. Silniejsze targnięcie liną było umówionym znakiem na wypadek grożącego niebezpieczeństwa.

Studnia była dość szeroką, przy otworze bowiem miała dwanaście stóp średnicy. Belka położona w poprzek, jakby kładka, posłużyła za punkt oparcia i zabezpieczenie aby lina szła samym środkiem studni; ostrożność ta była konieczną, gdyż inaczej, spuszczając się na dół, Henryk narażonym byłby na ciągłe uderzanie się o ściany studni.

Wszystko już było przygotowane.

— Trwasz ciągle w swoim zamiarze zstąpienia do tej otchłani? — zapytał go cichym głosem Jakób Ryan.

— Więcej niż kiedykolwiek — odpowiedział.

Przewiązano Henryka w biodrach i pod ramionami, aby się ciało nie kołysało, a tym sposobem ręce miał zupełnie swobodne. U pasa przymocował sobie lampę bezpieczeństwa, przy boku zaś zawiesił szeroki nóż szkocki w skórzanej pochwie.

Henryk stanął na środku belki, a gdy lina została przymocowaną, zwolna spuścił się w przepaść. Korzystając z powolnego wirowego obrotu liny, mógł dokładnie obejrzeć na wszystkie strony wnętrza studni. Były one z łupku węglowego, połyskliwe i tak gładkie, że niepodobna by było zatrzymać się ani chwili na ich powierzchni.

Podróż ta podziemna odbywała się z umiarkowaną chyżością, około jednej stopy na sekundę, Henryk więc miał możność czynienia spostrzeżeń

i przygotowany był na wszelki nieprzewidziany wypadek.

W ciągu dwóch minut, to jest do głęboko·sci mniej więcej stu dwudziestu stóp, nie napotkał żadnej przeszkody. W ścianach studni, zwężającej się nakształt lejka nie dawały się widzieć ani zagłębienia ani chodniki poziome — z dołu tylko dochodziło powietrze coraz świeższe, — z czego wnioskował Henryk, że dno studni połączone być musi jakim podziemnym przekopem z innemi przedziałami kopalni.

Lina opuszczała się ciągle. Cisza i ciemność bez granic panowały naokół. Jeżeli jakakolwiek istota żyjąca ukrywała się w tej tajemniczej przepaści, musiała albo opuścić ją chwilowo, albo też najmniejszym szelestem nie chciała zdradzić swej obecności.

Henryk coraz bardziej niedowierzający w miarę jak opuszczał się niżej, wydobył nóż z pochwy i trzymał go w prawej ręce.

W głębokości stu ośmdziesięciu stóp, domyślił się, że znajduje się na dnie studni, gdyż lina straciła swą sprężystość i nie rozwijała się dalej.

Odpoczął przez chwilę. Uniknął już jednego wielkiego niebezpieczeństwa, które można było przewidywać, to jet przecięcia liny po nad jego głową, gdy opuszczał się na dół. Zresztą, na całej przebytej przez siebie przestrzeni, nie dostrzegł ani jednej, najmniejszej szczeliny, w której mogłaby się jakakolwiek żyjąca istota ukrywać.

Dno studni było nadzwyczaj ścieśnione.

Henryk odczepił lampę zawieszoną u pasa i zaczął badać miejscowość. Nie omylił się w swoich przewidywaniach.

Studnia miała drugie wyjście przez ciasny poziomy przekop; tylko schyliwszy się bardzo i to na czworakach można się było dostać do niego.

Odważny młodzieniec postanowił sprawdzić w jakim kierunku ciągnie się ten tunel i czy nie prowadzi do jakiej nieznanej mu jeszcze pieczary.

Ale zaledwie położywszy się na ziemi, zaczął pełzać w szyi tunelu, na pierwszym zaraz kroku napotkał przeszkodę.

Za dotknięciem, zdało mu się, że zimne jakieś ciało tamuje mu przejście.

W pierwszej chwili cofnął się z wyraźnym wstrętem, ale niebawem posunął się znowu.

Nie mylił się, rzeczywiście, było to ciało ludzkie; przekonał się też, że jakkolwiek zlodowaciałe w kończynach, objawiało jeszcze znaki życia.

Prędzej aniżeli opowiedzieć podobna, przysunął je ku sobie, następnie wyciągnął na dno studni i przyjrzał się mu przy blasku lampy.

— Dziecko! — zawołał zdumiony.

Dziecię to, znalezione w przepaściach ziemi, oddychało jeszcze, ale tak słabo, iż zdawało się, że za chwilę ostatnie wyda tchnienie. Bez najmniejszej więc straty czasu należało wydobyć je na wierzch studni i zanieść na folwark, gdzie Madge otoczy je staranną macierzyńską opieką.

Henryk zapomniał o celu swojej wyprawy, umocnił linę w pasie, zawiesił lampę jak poprzednio, wziął dziecię na lewą rękę tuląc je do swych piersi, a pozostawiając sobie prawą rękę swobodną i uzbrojoną — dał znak umówiony.

Lina wyprężyła się i zwolna zaczęli wznosić się do góry.

Henryk spoglądał w około siebie z podwójną uwagą. Teraz nie samego siebie już tylko narażał.

W ciągu kilku pierwszych minut wszystko szło dobrze; zdawało się nic już nie zagrażać, gdy nagle usłyszał pod sobą silny szum w powietrzu i po chwili ciemna jakaś masa przesunęła się tuż obok niego.

Był to ptak olbrzymi, unoszący się w górę na skrzydłach niezmiernej wielkości.

Ptak ten, prawdopodobnie należący do gatunku ptaków nocnych, zawiesił się chwilkę w powietrzu, a następnie uderzył z dziką wściekłością na młodego górnika.

Henryk jedną tylko miał wolną rękę, którą odpierać mógł grożące mu ciosy ogromnego dzioba; bronił się więc w miarę możności, starannie tylko osłaniając dziecko. Nie przeciw dziecięciu jednak ptak wymierzał swoje gwałtowne napady — i tylko nieustannemu wirowaniu liny Henryk miał do zawdzięczenia, że nie został śmiertelnie ugodzony.

Walka tem straszniejsza, że toczona wśród zupełnej prawie ciemności, ciągnęła się już dość długo. Henryk zaczął krzyczeć z całych sił, w nadziei, że go usłyszą na górze.

I rzeczywiście, lina posuwała się z podwójnym pospiechem.

Pozostawało jeszcze ośmdziesiąt stóp do przebycia. Ptak odstąpił już teraz od bezpośredniego ataku, ale co gorsza, rzucił się na linę o dwie stopy po nad głową Henryka i w wysokości takiej do jakiej niepodobna było dosięgnąć ręką, starał się ją przerwać gwałtownemi uderzaniami dzióbu.

Henrykowi z przestrachu stanęły włosy na głowie.

Na wysokości przeszło stu stóp po nad przepaścią, lina drgnęła... jedno jej żebro zostało przerwane.

Henryk wydał okrzyk rozpaczy.

W kilkaknaście sekund, pod ciężarem dwóch osób, pękło drugie żebro. Zbliżała się straszliwa ostateczność...

Wówczas, Henryk rzucił nóż, i z nadludzkiem wysileniem, uniósłszy się w powietrzu, w chwili gdy lina miała pęknąć do reszty, schwycił ją prawą ręką nieco powyżej przerwy wydzióbanej przez ptaka. Pomimo przecież nadzwyczajnej siły jaką posiadał, czuł, że lina wysuwa mu się zwolna z pod palców.

Mógłby już teraz, poświęcając dla własnej obrony, dziecię trzymane na lewem ramieniu, uchwycić linę obu rękami — ale o tem nie chciał nawet pomyśleć.

Tymczasem Jakób Ryan i współtowarzysze jego, przestraszeni przerażającym krzykiem Henryka, ciągnęli z coraz większem wysileniem.

Henryk czuł, że nie zdoła utrzymać się aż do otworu studni. Krew uderzyła mu do głowy. Zamknął oczy oczekując chwili upadku w przepaść, ale wnet je otworzył...

Ptaka już nie było... uciekł zapewne, przestraszony widokiem ludzi i kilku lamp górniczych.

W chwili bowiem gdy Henryk miał już puścić linę, której koniec zaledwie trzymał się jeszcze w spazmatycznie zaciśniętej jego dłoni, górnicy schwycili swego przyjaciela i wydobyli ze studni wraz z dzieckiem.

Teraz jednak musiała nastąpić reakcya... Henryk padł bez życia na ziemię. (C. d. n.)

KOPALNY CZŁOWIEK.

Najdawniejsze ślady człowieka znaleziono w tak zwanym okresie geologicznym trzeciorzędowym, a mianowicie w warstwach skorupy ziemskiej, zwanych pokładami mioceniczymi; jednak ślady te nie są skonstatowane z zupełną ścisłością. Trzeba będzie jeszcze bardzo starannych badań, żeby dowieść istnienie człowieka w tych czasach ginących w pomroce wieków. W czasie gdy się na warstwach miocenicznych układać zaczęły pierwsze warstwy plioceniczne, nastąpiło wielkie obniżenie temperatury na naszej ziemi. Z wielkiego gorąca, sprzyjającego bogatemu rozwojowi istot organicznych, temperatura stała się mniej więcej do naszej obecnej podobną. Nowsze badania wykazują nawet, że w środku tworzenia się pokładów plioceniczych miał miejsce pierwszy okres lodowy; że ziemia pokryła się lodami i że znikła prawie cała bogata roślinność i wszystkie prawie zwierzęta europejskie. Mastodonty i wiele gatunków zwierząt przeżuwających, drapieżnych i innych wymarło, lub też wywędrowało na południe do krajów cieplejszych. Człowiek nie mógł wytrzymać w takim chłodzie. Lecz gdy się znowu podniosła temperatura w czasie układania się wyższych warstw plioceniczych, lody się usunęły i pokazały się nowe zwierzęta, mocno się różniące od tych, które poprzednio zamieszkiwały Europę. Człowiek także się pojawił, w towarzystwie słoniów, hipopotamów i nieznanych dotąd gatunków jeleni, niedźwiedzi, tapirów i nosorożców.

Nareszcie po długim przeciągu czasu nastąpiło znowu raptowne zniżenie temperatury. Lodniki zeszły z gór na dół i nastąpił drugi okres lodowy, lecz już nie takiej doniosłości jak pierwszy. Zaczął się wtedy tak zwany okres czwartorzędowy, w którym znajdujemy już bardzo wyraźne ślady człowieka. Spotykamy kości ludzkie obok narzędzi krzemiennych i innych kamiennych, które są bardzo niezdarnie obrobione i odpowiadają nadzwyczaj niskiemu stopniowi cywilizacyi, jednak wykazują już znaczny postęp od czasów plioceniczych. Jak dawno miał miejsce ten początkowy czas czwartorzędowego okresu, trudno dokładnie określić; trzeba jednak przypuszczać, iż upłynęły dotąd całe dziesiątki tysięcy lat.

Można sobie zrobić dość dokładny obraz żyjących w tych czasach dzikich ludów. Nie znali oni ani hodowli bydła, ani też uprawy ziemi. Włóczyli się po lasach, lub też chronili się w jaskiniach, w towarzystwie mammutów i jeleni. Mieszkańcy wybrzeży morskich karmili się mięczakami i rybami, które łowili za pomocą oszczepu. Ludy wędrujące wewnątrz lądu stałego żyli mięsem zwierząt, których zabijali bronią kamienną. Łakomie wysysali szpik z kości, czego dowodzi stały sposób łamania dłuższych kości, które miały rurkowate wyżłobienia. Zdaje się nawet, że niektóre pokolenia oddawały się jedzeniu mięsa ludzkiego. Całe istnienie człowieka było poświęcone zadowoleniu grubych zmysłowych potrzeb. Trzeba mu było o te potrzeby walczyć uparcie i z ogromnem narażeniem życia przeciw silnemu, co do siły fizycznej daleko mocniejszemu światowi zwierzęcemu. Wojna była ciągłą w tym niegościnnym raju człowieka dyluwialnego.

Charakterystycznym dla cywilizacyi owych czasów jest fakt, że z pięciu szkieletów znalezionych w jaskini Cro-Magnon, jeden, człowieka

dorosłego, ma znaczną ranę na nodze, a kobieta nosi na czaszce ślady gwałtownego uderzenia jakimś ostrym instrumentem, prawdopodobnie siekierą kamienną.

Widzimy ztąd, że ludzie okresu czwartorzędowego nie stali pod względem cywilizacyi wyżej, od obecnych mieszkańców Nowej Kaledonii. Jednakże nie daje to nam prawa stawienia człowieka z tych dawnych czasów na równi ze zwierzętami, które go otaczały; owszem mamy już wtedy przed sobą istotę, która przebiegła przez cały szereg poprzedzających stopni rozwoju, i która już wyrobiła sobie zdolność rozważania, potrzebną do obmyślenia i wykonania najprostszych narzędzi. Oprócz tego, już od czasów miocenicznych, człowiek znał sztukę dobywania ognia.

Posiadamy bardzo znaczną ilość faktów zebranych na szkieletach tych dawnych ludzi, które przemawiają za tem, iż w Europie żyła najprzód rasa ludzi wysokich, długogłowych, a dopiero potem przywędrowała mieszkająca na wschodzie rasa niska i krótkogłowa.

Gdy się później zmniejszyła powoli ilość zwierząt drapieżnych, zamieszkujących jaskinie, łoś zyskał na rozpowszechnieniu i zaczęto wyrabiać daleko doskonalszą broń kamienną. Broń i narzędzia składały się z niedokładnie obrobionych kamieni, po większej części krzemieni i rozłupanych kości zwierzęcych; lecz widocznym się już stał zaczątek pewnego zbytku, pewnej elegancyi w wyrobie najpierwotniejszych ozdób, składających się z przedziurawionych kul i krążków, z muszli ułożonych paciórkowato i t. p. Znaleziono nawet początki sztucznego naśladowania zwierząt; znaleziono lepione i rysowane ornamenta, lecz człowiek żył jeszcze ciągle w jaskiniach lub pod obroną skał wystających w rzecznych dolinach. Jedzenie tych Troglodytów składało się głównie z mięsa głównie końskiego i jeleniego. Zwierząt domowych, z wyjątkiem prawdopodobnie psa, jeszcze nie było. Lecz widać już mały postęp w cywilizacyi, bo pojawia się garncarstwo, którego ślady w wielu miejscach poznajdowano. Garczki są bardzo niezdarnie zrobione z czarnej, niewyrobionej masy glinianej. Nożów kamiennych znaleziono w tym okresie bardzo dużo, natomiast mało siekier. Biorąc pod uwagę fakt, że człowiek w jaskiniach francuskich malował się na czerwono, czego dowodzą znalezione kawałki ochry czerwonej i obok nich instrumenta do skrobania, przychodzi się do wniosku, iż człowiek chodził nagi lub na pół nagi, przy zwiększającej się ilości ubrania zmniejsza się zabarwienie skóry. O mieszkańcach jaskiń w Perigord wiemy, że umieli nawet liczyć. Wynaleźli metodę oznaczania pewnych myśli za pomocą tabliczek kościanych, na których robiono umówione nacięcia. Mogli nawet w ten sposób korespondować między sobą. Przypomina to nam sposób, który według greckich pisarzy był długi jeszcze czas potem u Scytów używany.

Nawet pewne pojęcie o religii zaczęło się przebijać w umyśle, jeśli za takie wolno uważać cześć dla zmarłych. Znaleziono wiele mogił z tych czasów.

Z obu ras długogłowych i krótkogłowych, które napotykamy obok siebie, ta ostatnia była najwięcej ucywilizowaną. Ma ona wielkie anatomiczne podobieństwo do mieszkających obecnie na północy Eskimosów i Czukczów. Dziwna rzecz, iż jeszcze dziś w mieszkaniach tych ludów pod lodami północy, znajdujemy te same obyczaje i te same narzędzia, jak za czasów przedhistorycznych w epoce czwartorzędowej.

Do tego okresu rozwoju cywilizacyjnego człowieka należą godne uwagi wały z nagromadzonych skorup od mięczaków, których wiele w Danii znajdujemy. Są to tak zwane Kiökkenmöddinger, znajdujące się w bliskości morza i złożone z muszli, kości zwierzęcych i gdzie niegdzie narzędzi kamiennych. W Danii znajdują się w takich „kuchennych odpadkach" różne gatunki jadalnej ostrygi, muszli sercowej (Cardium) i w. in. Można twierdzić na pewno, iż Duńczycy którzy układali owe wały nietylko latem przebywali nad morzem, lecz przez rok cały. Jak dawno były te tak zwane kjökkenmeddingery ułożone, trudno określić, lecz robią one wrażenie nadzwyczaj odległej starożytności. Dania jest obecnie pokrytą bukowemi drzewami a w tej dawnej epoce były same drzewa dębowe; a przed dębami były jodły i w tym właśnie czasie powstały owe nasypy muszlowe, zawierające w sobie resztki głuszców żywiących się pędami jodłowymi.

Po okresie starokamiennym następuje okres nowokamienny, w którym ludy używały już kamieni wygładzonych. Hordy ludów, uzbrojone w wygładzone topory kamienne, wpadają na resztę ludów z epoki reniferowej, i podbijają je bez trudu. Ci późniejsi, czyli neolityczni ludzie przyszli od południo-wschodu ze zbożem i ze zwierzętami domowemi; byli oni mieszkańcami jaskiń i w jaskiniach urządzali sobie grobowce. Wiemy o nich daleko więcej niż o ich przodkach. Skóra ich była barwy brunatnawej, wzrostu byli małego, a żyli głównie życiem pasterskiem. Rasie tej są właściwe pomniki, tak zwane Dolmeny, z nieobrobionych kamieni. Naprzód były to ogromne płyty kamienne, umieszczane na wielkich słupach, później nastąpiły inne dolmeny, kunsztowniej zbudowane z obciosanych kamieni. Te stoły kamienne zwane także Cromlechami lub Menhirami są nadzwyczaj rozpowszechnione nietylko w Europie, lecz i w Afryce południowej, w Algierze, w Tunisie, na Libanie, a nawet w Indyach wschodnich.

Obok śmiertelnych resztek napotykamy w tym okresie narzędzia i broń z krzemienia, kwarcu, nefrytu, serpentynu i naczynia gliniane. W tym czasie tworzą się już ogniska przemysłu, pewne miejsca, w których się przeważnie pewnym jego gałęziom oddawano. Wskutek tego musiał już się zawiązać pewien rodzaj handlu. Potwierdza to przypuszczenie, że używano różnych materyałów pochodzących ze stron dalekich, które tylko drogą kupiecką dostać się mogły.

Najbardziej zajmującemi pozostałościami z okresu nowokamiennego, są tak zwane mieszkania nawodne, czyli osady ludzkie budowane na słupach wbitych w jeziorach. Zwyczaj ten nie powinien nas zadziwić, skoro tylko przypomnimy sobie, iż dzisiaj takie mieszkania nawodne znajdują się we wschodniej Azyi w ogromnej ilości. Wszędzie w Birmie, Siamie, Kambodży, chatki bambusowe stoją na palach i wznoszą się kilka stóp nad powierzchnią ziemi, a na wielkich rzekach, jak np. na Menamie znajdujemy całe miasta pływające. Stolica Siamu Bangkok, jest może najwybitniejszym przykładem takiego pływającego miasta, a Battambang, miasta zbudowanego na palach Papuasy z Nowej Gwinei mieszkają w domach, które są na palach zbudowane, i znajdujemy je także u wielu ludów afrykańskich. W Ameryce spotyka się także zwyczaj podobny. W Szwajcaryi i w krajach sąsiednich, takie mieszkania na palach musiały być używane przez czas bardzo długi, gdyż znalezione tam resztki pochodzą z najrozmaitszych epok i sięgają czasu bronzowego, a nawet żelaznego. Tylko pierwsza epoka historyi mieszkań nawodnych należy do okresu kamiennego, bo tylko w zabudowaniach początkowych spotykamy narzędzia i broń z kamienia i kości. Spotykamy już tu daleko większą rozmaitość w sposobach obrabiania surowych materyałów i widzimy pocieszający postęp cywilizacyi. Mieszkańcy tych domów na palach stojących zajmowali się już uprawą roli, sztuką, która była zupełnie obcą dla mieszkańców jaskiniowych; hodowali także bydło i umieli przyrządzać sobie mąkę. W niektórych odkopanych zabudowaniach znaleziono nawet resztki ubrania, co dowodzi znajomości przędzenia i tkania.

W dalszym przebiegu wieków zginęły i te ludy z epoki nowokamiennej, a jako swych reprezentantów zostawiły żyjących w naszych czasach Basków, Berberów i Kabylów.

Piśmiennictwo polskie.

(*Dokończenie*).

Gdyby mi kazano przytoczyć piękniejszy ustęp z jakiegokolwiek pokrewnego barwą poematu, byłbym zaprawdę w niemałym kłopocie. Nie śmiem utrzymywać, aby w królestwie religijnej muzy nic nad ten ustęp wspanialszego, nic żywszego nie było; wyznaję jednak w pokorze ducha, że po wielokrotnem w różnych odstępach czasu odczytaniu poematu, z wrażeniem odebranem z ciepłej dłoni mazowszanina, żadne dziś inne z tej dziedziny o pierwszeństwo nie walczy... Gdzież leży, pytam, tajemnica uroku? Słowo tu każde łatwe i proste, rym pospolity... wierszy nie wiele? Wszystko to prawda; ale proszę wniknąć w ducha, co ożywia ustęp, przejrzeć się śmiałemu zestawieniu dwu narodów na skromnej stronicy druku: podpatrzeć tajemnicę wybitnej antytezy, posłuchać niemego dyalogu tych przeszkadzających sobie wzajemnie ludzi zbiorowych, co kształtem charakterystycznym, ubiorem, postawą, ruchem, krzykiem mówią...

Następujący, trzeci obraz z równą prawidłowością wyłonił się z drugiego, jak drugi z pierwszego. Chrześciański poeta przedstawiwszy już ogólny kontrast w duchu a naturze, i kontrast w narodach, dąży teraz do odmalowania kontrastu w stronnictwach jednego ludu. Kroczy więc coraz dalej po promieniu, od powierzchni do ogniska: ścieśnia się w obszarze a wzbogaca treścią.

„Na jednej z ulic, w ciemnym zamku" leży bezdomny ród miejskich łazarzów... Piotr, Magdalena, Jan—drużyna Pańska, pełnią tu świętą posługę miłosierdzia: leczą chorych, karmią głodnych i cieszą strapionych. Tymczasem czerń uliczna, uciśniona przez rzymskie pułki, kupiąc się do koła sprawiedliwych, chłoszcze ich językiem, błotem obrzuca i kamienuje; gdy nagle „jakby z woli bożej", tentent obojętnej temu dramatowi italskiej konnicy rozprasza tłum zajadły, ów tłum ciemny, co na własne rzuca się proroki. W tym trzecim obrazie mamy podwójną antytezę: Rzymian i Żydów, czerni Judzkiej z piśmiennemi na czele i uczniów Chrystusa. Każda prawie wprowadzona przez autora postać, jak śród pospólstwa, tak i śród wybranej drużyny, wybitnie od swego tła odstaje: uwydatnia się zewnętrznym kształtem, rumieni charakte-

*

rem, myśli, mówi i działa: słowem, jestto już wymowny fragment dramatyczny. Język jak wszędzie prosty, rym łatwy, wiersz dziesięciozgłoskowy, a rym mięszany. Oto charakterystyczny głos przedstawiciela zgrai miejskiej wszystkich wieków i narodów:

„Rudobrody stojący w tyle,
Któremu z szaty w pół przewiązanej
Wyglądał stary miecz przepasany,
Syknął wężowym do gminu sykiem:
On był z Jezusem galilejczykiem,
To on, co w uszy motłochu gada,
Że już miecz (gdy rany nie zada,)
Że te Rzymiany zwalczyć potrzeba
Nie mieczem ziemi, lecz mieczem nieba;
I że się cały Rzym w ziemię schowa,
Od jakiejś duszy, jakiegoś słowa...
Niewiernym taki wielce przydatny,
A ja wam klnę się, że on i płatny!“

Za tym głazem idzie niemniej charakterystyczny krzyk złośliwej niewiasty. Wreszcie jakieś „pacholę mdłe, kędzierzawe“ rzuca pierwszy kamień na jasne oblicze Jana, co podniosłszy „w niebiosa ręce, jak żagle“, jaśniał pośród spokojnie, „niby łódź na piasku“, stojącego grona... Stało się: czerń kamienuje wybranych... Poeta opiewa tę burzę ze spółczuciem chrześcianina i powagą psalmisty. Prześliczną jest nadewszystko strofa, gdzie w kilku pociągach pióra rzeźbi wytrzymujących nawałnicę troje wieszczów chrześciańskiej przyszłości: „Orła“ Jana, sędziwego Piotra i złotowłosą Magdalenę:

„Biedna niewiasta krwią własną zlana,
Na błagające padła kolana;
I zapłakała niewinnie bita,
Jasnemi tylko włosy okryta.
Piotr stał poważny, by skała brzeżna,
Co na niebiosach głowa jej śnieżna,
A stopy twarde masy ścisłemi,
Gdzieś przesięgają do środka ziemi;
Jan jako orzeł, gdy w słońce goni,
Nie zniżył w górę wzniesionych dłoni;
I tak czekali pełni nadzieje
Aż wicher boży te fale zwieje.“

Nareszcie, rozległ się tentent rzymskiej konnicy, a przestraszona zgraja prześladowców „jakby przed wichrem piasek, uciekła.“

„I nie spojrzeli pyszne żołdaki
Niosący orły, cezarów znaki,
Na ów ubogi rodzaj znikomy,
Brzemienny wielkiem zniszczeniem Romy.“

Co tu za siła obok prostoty! co za bogaty, światłem pierwszorzędnego talentu opromieniony materyał do obrazu lub płaskorzeźby religijnej! Poeta skorzystał tu zapewne z niektórych danych pisma Ś-go; ale obszedł się z niemi tak, jak zwykł się obchodzić genialny epik lub dramaturg z wypadkami badań dziejowych; nie skłamał im, ale też ich i nie skopiował.

O ile pierwsza część utworu pełną jest prawdziwych zalet, o tyle druga, mimo że liczebnie dwa razy blisko od pierwszej większa, zaledwo zasługuje na szczegółową wzmiankę. Jest ona wprawdzie niemniej piękną pod względem formy, ale zbywa jej na ożywieniu artystycznem, które głównie na ruchu myślowym i na grze kontrastów polega. Apostołowie spieszą po doznanem prześladowaniu, na religijną biesiadę do rybackiej chatki. Słońce dokoła wzgórza i doliny bezchmurnym blaskiem oźlaca. Pielgrzymi „z ściśniętem sercem i łzą zapiekłą“ po gorącej stąpają ziemi. Mowa ich przechodzi w jęki i skargę Jeremijasza ku wrotom niebieskim płynie; jednego tylko Jana lepsze ożywiają myśli:

„Jakób chciał spocząć pod palmy drzewem,
Gdy Jan rzucając wzrokiem na morze,
Co blaskiem nieba grało w tej porze,,
Pobiegł z wesołem licem ku braci:
Zacz nie widzicie jasnej postaci,
Gdzie stąpa woda morska złocistsza,
Nie poznajecież oblicza mistrza?
Lecz oni próżno patrząc w tę stronę,
Widzieli tylko słońce zniżone,
I blask zachodu na falach wielki,
I nieruchomych statków żagielki“.*)

O ileż wymowniejszego obrazu dostarcza nam podobną natchniony myślą końcowy ustęp z „Jeremiasza“ Ujejskiego, gdzie złorzeczącemu prorokowi „zeschła“ a puszczająca „latorośli mnóstwo“ ze swego korzenia „sykomora“ żywotną „myśl Boga“ tłómaczy. Niemniej przewyższa poetę naszego i Krasiński w pokrewnych epizodach „Przedświtu“, albo nawet w owym ustępie „Snu Cezary“, gdy obumierający „duch wieszcza“ spostrzega nagle „nowonarodzoną gwiazdę wschodzącą“ z kończyn widnokręgu...

Apostołowie przybywają wreszcie do oblanej światłością nadmorskiej lepianki. W tym przybytku głuchną żale, cichną jeremiady, znikają najdrobniejsze różnice wewnętrznych prądów; aż nakoniec modlitewny nastrój ducha odziewa tych pracowników winnicy pańskiej w przezroczą szatę apoteozy i wniebowstąpienia...

Druga część „Apostołów“ odznacza się ujemnie jednostajnością błękitnego kolorytu, co w naszych oczach wszystkie jej techniczne zalety, jest ze wszystkich utworów Lenartowicza próbą najpokrewniejszą „Przenajświętszej rodzinie“ Bohdana Zaleskiego. Jak tu tak i tam ziemia jeszcze wprawdzie nie usuwa się z pod stóp świętych pańskich, ale stojące otworem niebo rozesłało już złotawy na naszym padole kobierzec i obłokiem niepokalania otuliło „wybranie swoje...“

Pierwsza natomiast część „Apostołów“, którą się głównie w artykule tym zajęliśmy, stanowi barwną wiązankę obrazów i jest jak widzieliśmy pięknym zarówno pod względem treści jak i formy całokształtem artystycznym. Cenimy ją daleko wyżej, niż „Błogosławioną“ lub „Zachwycenie“**) owe tajemnicze, miniaturowe perełki naiwności dziecinnej, którym się zarówno krytyka sumiennego pedagoga, jak pobłażanie estetyka należy.

*) Ustęp ten może służyć za przykład dla piszących o halucynacyi: zapał religijno-poetyczny potęgował wyobrażenia Jana, a przenosząc na zewnątrz, czynił je dla marzyciela ściśle przedmiotowemi, co obcem zgoła być musiało upadłym na duchu towarzyszom.

**) Patrz: Poezje Teofila Lenartowicza. Poznań 1855.

Piśmiennictwo francuskie.

Le vieux neuf. 2me Edition par Edouard Fournier. 3 Vol. Paris. Dentu.

Pharisiens, par J. Cohen, 2 Vol. Paris. Calmann Lévy.

Portraits de femmes par Camille Selden. 1 Vol. Paris. Charpentier.

P. de Ponsevrez. Au temps des feuilles. Poésies. 1 Vol. Paris. 1877. Librairie des bibliophiles.

La cité des Sables, par Louis Jacolliot. 1 Vol. Paris. Maurice Dreyfons.

Nowem jest tylko to, co już postarzało, powiadał stary poeta angielski Chaucer; słowa te mogłyby służyć za epigraf dla pracy p. Fourniera, zatytułowanej *le Vieux neuf.* Chodzi mu w niej o wykazanie za pomocą przykładów wziętych ze sztuki, z przemysłu, z nauki, z mód, z farmacyi, z kuchni, w ogóle zewsząd pochtochę, że nie ma nic nowego pod słońcem. To co nam się wydaje nowem, jest starem i tam, gdzie pochlebiamy sobie jakobyśmy byli oryginalnymi, jesteśmy poprostu kopistami. Nasze wynalazki? Ależ to są poprostu nowe wydania. Pan Fournier przytacza ogromną moc dokumentów, za pomocą których mógłby wydać naszemu wiekowi tysiąc procesów o podrabianie.

Pan Fournier nie jest sam zawsze we wszystkich kierunkach, lecz jest to prawdziwa studnia erudycyi lekkiej i łatwej, zdobytej w bibliotekach. Jestto kompilator.

Według niego wiek nasz nic nie stworzył a tylko wszystko zastosowywał. Pochlebiamy sobie żeśmy wynaleźli makadam, falanstery i zapałki chemiczne, wszystko to błędy naszej dumy. Makadam mieli Rzymianie, falanster znajdujemy w Arystofanie, a zapałki chemiczne są poprostu zastosowaniem filtru Dejaniry. Możemy się jednak pocieszyć, gdyż i wieki te dawniejsze, nie wydały według p. Fourniera nic nowego. Już niewiadomo kiedy przedtem były wynalezione para, proch, druk itp. Przez kogo? P. Fournier nie mówinam nic o tem, gdy ci, którzy zdawaliby się być wynalazcami, jak np. Heron Aleksandryjski, są tylko kopistami. Szukając dobrze możnaby znaleść poprzednika Herona, a jeszcze lepiej poprzednika poprzednika.

Chociaż wiele bardzo przesady w dziele pana Fourniera, to jednak jest ono bardzo pouczającem. Trzeba koniecznie pochwalić cierpliwą ciekawość autora i to, że nie pogardzał drobnemi rzeczami. Każda rzecz starożytna staje się świętą. Przepis zwykły kuchenny nie interesuje nas wcale, lecz gdy znajdujemy go w dziele starożytnem, możemy się doń zapalać. Z wzruszeniem trzeba czytać ustęp podwójny, archeologiczne szczegóły fabrykacyi pasztetów z wątróbek gęsich.

Pan Fournier nie stara się o to by go uważano za bardzo poważnego erudytę. Swoje skrzętne poszukiwania zestawia nieraz ożywiając dowcipami i nadając całości niewymuszoną formę.

Jest to w każdym razie książka bardzo sumienna i bardzo pouczająca.

Faryzeuszom zrobiono okropną reputacyą w historyi. Twierdzą, że byli świętoszkami, a co najmniej oddawali się nabożności ograniczonej, zwracali więcej uwagi na praktyki religijne, poświęcając treść rzeczy, mianowicie wiarę, sprawiedliwość i miłosierdzie. Pan Julian Cohen w świeżo wydanem dziele pod tytułem *Faryzeusze* stara się dowieść, iż spotwarzono ich tylko. Powiada, iż pewnym ustępom z Biblii przypisano doniosłość, której nie posiadają, że źle sobie tłómaczono słowa dawnych historyków i zaniedbano szukać w innych źródłach. Według pana Cohen, nauka faryzeuszów była przewrotem moralnym, socyalnym i religijnym, najznakomitszym i najbardziej liberalnym, jaki sobie wyobrazić można.

Odrazu uderza w oczy ten fakt ważny, że przez pięć wieków faryzeizm wywierał na społeczeństwo żydowskie, a nawet i na zewnątrz, wpływ ogromny. Rzadko miał ster rządów politycznych, najczęściej był prześladowanym, a mimo to dzierżył zawsze w ręku rządy duchowe. Gdy się Jeruzalem zwaliła, on pozostał na ruinach. On zgrupował około siebie rozproszone resztki pokolenia Judy. Dzięki jemu została uratowana zasada monoteistyczna. Hypokryci, gdyby nawet byli najzręczniejszymi, nie zawładnęliby tak łatwo duszą i życiem narodu.

Słynna apostrofa: „Biada wam, faryzeusze“ dowodzi tylko władzy i znaczenia faryzeizmu. Ponieważ cieszył się on uznaniem, więc też miał i swoich świętoszków; przesadzali oni w wypełnianiu praktyk, aby zyskać sławę świętości i nauki. Według p. Cohena słowa Chrystusa odnosiły się do takich świętoszków, który nigdy nie rzucał anatemy na prawdziwych faryzeuszów. Gdy Paweł mówi o sobie iż jest „faryzeuszem, uczniem i synem faryzeusza“.

Praca p. Cohena jest bardzo sumienną i przeczytawszy ją nabiera się przekonania o ważności poruszonego przedmiotu. Kwestye tam poruszone nie rozstrzygają się jednem pociągnięciem pióra. Autor, rzec można, ma tę główną zasługę, iż uczynił je przystępnemi i zajmującemi. Dzieło jest tak silnie założone, wszystkie części są tak mocno powiązane z główną myślą, historya i filozoficzne dyskusye tak się pięknie wzajemnie objaśniają, nakoniec powiew prze-

konania jest tak potężny, że czytelnik porwanym jest, nawet w miejscach na pozór najbardziej suchych. Talent i nauka autora występują na jaw, w najdrobniejszych nawet ustępach.

Pan Kamil Selden wydał kilka bardzo miłych portretów kobiecych. Mówiąc miłych, nie chcemy to czynić na przekor autorowi, który twierdzi, iż nie ma już czasu czytać dla zabawy, i że wszyscy żądni są wiedzy. Powiada on, że nawet w powieści, mało już obchodzą postacie, czynny udział w akcyi biorący i ich charakter. Głównem zadaniem pisarza jest, według p. Seldena, przedstawić dokładnie wypadki i ściśle odmalować osoby działające. Przedewszystkiem szukać należy prawdy. A jednak mimo tych surowych zasad portrety pana Seldena są, powtarzamy, bardzo miłe. Pani Maintenon, jest naprzykład przedstawiona w tak przyjemnem świetle, że nawet można na pewne twierdzić, iż prawda nie jest główną ozdobą portretu. Zresztą, gdy autor mówi o hrabinie d' Houdetot, znajdujemy tam sąd o Saint-Lambercia, któremu można byłoby wiele zarzucić. Czyż był on tak zimnym jak powiada p. Selden. Chociaż poemat jego był nieskończenie nudnym, to mimo to, on sam był najbardziej ożywiony, najbardziej iskrzący się *causeur* swoich czasów. Dowcip olbrzymi i werwa niesłychana w paradoksach. W czasie, w którym właśnie dowcip panował, można sobie wytłomaczyć powodzenie tego ulubionego kochanka margrabiny du Châtelet. Lecz te zarzuty, które czynimy, nie ujmują wcale wartości miłym portretom p. Saldena. Byłyby one jeszcze milsze gdyby p. Salden mniej robił cytat i podawał je w skróceniu. Gdzie tylko nadarzyła się okazya pozwalał swym bohaterkom malować się własnem piórem. Czy to jednak jest najlepszy sposób otrzymania rysów dokładnych i podobnych. Złośliwi mogą twierdzić, że gdy kobieta mówi o sobie, to tylko połowie można wierzyć.

Do portretów wziętych z rzeczywistości załączył pan Selden portret istoty nie istniejącej, Charlotty Lefèvre. Ta Charlotta nie ma ani jednego rysu podobieństwa do Charlotty z Wertera. Córka ludu, biedna, z ogromnym zapałem do malarstwa, sprzedaje się starcowi, aby mieć wygody potrzebne do rozwoju życia artystycznego. Nareszcie zrywa wiążący ją łańcuch złoty i oddaje się miłości bezinteresownej. Talent jej osłabia się i umiera prędko nie zostawiając po sobie śladu.

Portrety p. Seldena są lepsze, niż ta mała powiastka, która ma pretensye do pewnych studyów psychologicznych.

W roku bieżącym nie mogą wcale Francuzi skarżyć na pojawiające się nowe talenta. Przybył mianowicie jeszcze jeden p. P. de Pontsevrez. *Au temps des feuilles* jest tytułem ozdobnego tomiku.

Au temps des feuilles nouvelles
Nous avons aimé;
Quand on lia les javelles
Son coeur s'était refermé.
Quand on lia les javelles
On a combattu;
Au temps des feuilles nouvelles
On était vaincu.

Charakter ogólny poezyi jest wiejskim. Spotyka się ludzi wiejskich, czuć powiew świeży łąk i lasów, a nawet wesołość jest zakroju wiejskiego. W jego wsi umierają ludzie z miłości zawiedzionej. Opowiada nam historyą młodej Galatei, która ucieka przed nim w poniedziałek do gaju; on za nią nie goni, we wtorek przychodzi sama do niego — on pogardza nią wtedy, a we środę biedaczka umiera. Pan Pontsevrez żyje widocznie w departamencie, w którym lubią szybko rzeczy załatwiać. W każdym razie na umierającego p. Pontsevrez jest jeszcze dość wesołym, i śpiewa o winie równie dobrze, jak o troskach. Niedługo mają się ukazać dalsze jego prace.

La cité des Sables przez Ludwika Jacolliot, jest książką popularyzacyjną, w rodzaju powieści Verne'a. Tylko że za mało w niej popularyzacyi a za wiele powieści. Wiadomości naukowych tak mało w tej książce, że możnaby było zebrać je w dwunastu pytaniach i odpowiedziach. Sama powieść jest w dziwny sposób zbudowaną. Więcej jest niż ktokolwiek żądać może różnych przygotowań i tajemnic; dopiero na ostatnich stronicach dowiadujemy się o co chodzi i jakiego trzeba dokonać przedsięwzięcia, i to co wymagało tyle trudów, załatwia się odrazu, bez żadnej przeszkody. W każdym razie rzecz jest dość zajmująca.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

XXIX.

Lato zbliża się już ku końcowi. Każdy kto tylko może spieszy za rogatki lwowskie korzystać z tych resztek uciekającego lata. Nie mamy ani teatru, ani koncertów, ani balów, ani żadnych rzeczy które zwykle we Lwowie są. Mamy tylko jedną niezwykłą rzecz tj. Sejm, który, zresztą zajęty jest wyborami do komisyi. Jest to żmudna i niewdzięczna praca, która, zważając na krótkość tegorocznej kadencyi, nie wiadomo czy zostanie ukończoną przed zamknięciem sejmu. Lwowianie wnieśli petycyę do sejmu podpisaną przez kilka tysięcy obywateli, ale sejm aby się nie odrywać od pracy nie chciał nawet jej odczytać. Śmieszną zaiste jest rzeczą podawanie petycyi do sejmu, jak gdyby sejm nie miał swych *własnych* spraw do załatwienia i mógł czas tak drogi poświęcać na sprawy krajowe a tembardziej na sprawy polskie.

Ale wszystko ma swój koniec, więc i lato wkrótce się skończy, a z jesienią zawita z powrotem teatr, który podobno już w przyszłym tygodniu wraca do Lwowa. W teatrze nasamprzód zapowiedziany jest dramat Zalewskiego *Marco Foscarini* i komedya Blizińskiego *Pan Damazy*, która świetnego przyjęcia doznała na innych scenach polskich. Z tłumaczonych rzeczy zapowiedziano najnowszy utwor W. Sardou *Dora*. Obok panny Gabbi i Marco przybywa nowa śpiewaczka w osobie panny Botarelli, oraz śpiewacy Valchieri, Spragne i Bogacicz. Będziemy więc znowu mieli Włochów i nawet więcej jak w roku zeszłym, za to Polki i Polacy mają otwarte pole dobijać się uznania na scenach zagranicznych.

Równocześnie z teatrem, a może nawet wprzódy wystąpią przed lwowską publicznością z odczytami pp. Szujski i Tarnowski, ten sam Tarnowski, który zarobił sobie niedawno na sławę herostratową w Warszawie.

* * *

Towarzystwo archeologiczne krajowe we Lwowie odbyło dnia 13go bm. zwyczajne posiedzenie wydziałowe, na którem członek wydziału p. Mikoszewski zdał sprawę szczegółowo z odkrycia zwłok króla Stefana Batorego w Krakowie. Prezes przedstawił zgromadzonym rysunek grobów z epoki kamienia w Kodni na Wołyniu przez p. Jezierskiego; uchwalono prosić p. Jezierskiego o opis szczegółowy tego ciekawego odkrycia. W myśl statutu postanowiono utworzyć ośm sekcyj w Towarzystwie, tj. sekcye: 1) archeologii i antropologii przedhistorycznej, 2) archeologii chrześciańskiej, 3) numizmatyki, 4) paleografii, 5) heraldyki, 6) dyplomatyki, 7) sfragistyki, 8) sztuk pięknych i prosić wszystkich członków Towarzystwa, aby się oświadczyli listownie, w której z rzeczonych sekcyj mają zamiar brać udział.

* * *

Wypada nam poruszyć sprawę nominacyj nauczycielskich, gdyż pod tym względem tak smutne u nas panują stosunki, jak zapewne w żadnej innej prowincyi austryackiej.

Po nadaniu Galicyi pewnej autonomii i zaprowadzeniu języka polskiego w urzędach i szkołach, utworzono Radę szkolną krajową, której nadano władzę organizacyi i nominacyj w szkołach średnich w całej Galicyi. Atoli namiestnik ówczesny Agenor Gołuchowski rządząc się despotycznie, będąc prezesem Rady szkolnej, sam o wszystkiem w niej stanowił i nie dał możności rozwinięcia się instytucyi i zajęcia poważnego stanowiska, lecz że z drugiej strony potrafił zachować się niezależnie od ministerstwa, któremu stawiał opór w jego zachciankach uszczuplenia atrybucyi Rady szkolnej, dopóki żył był choć cień niezależności Rady szkolnej od Wiednia. Po śmierci jego zmieniły się stosunki. Rada szkolna nie wyrobiła się na instytucyę samodzielną i nie było już komu stawać energicznie w obronie praw przeciwko zamachowi ministerstwa. Ministerstwo odebrało zupełnie Radzie szkolnej władzę nad szkołami średniemi i dziś wszystko rozstrzyga się w Wiedniu. Pozostawiło Radzie szkolnej tylko prawo prezenty na posady nauczycielskie, tj. stawiania terna kandydatów do szkół średnich i seminaryów nauczycielskich. Lecz teraz do tego przyszło, że ministerstwo wcale nie zważa i na propozycye Rady mianując zupełnie dowolnie nie postawionych na liście kandydatów. Rozumie się takich którzy mają protekcyę, czem zupełnie podkopuje powagę Rady szkolnej, bagatelizując niejako jej władzę i czynności. Tak obecnie stoją rzeczy, że dziś, bez odnoszenia się do Rady szkolnej krajowej, dosyć jest mieć kilka listów protekcyjnych lub uzyskać sobie jaką wpływową osobę w Wiedniu, aby otrzymać posadę i dekret nauczycielski. Gdyby to jeszcze takie nominacye wypadały z korzyścią dla szkoły i protegowani byli zdolniejsi i lepiej ukwalifikowani od kandydatów proponowanych przez Radę szkolną, to i w takim razie nie należałoby tego zamilczeć. Ale dzieje się przeciwnie — protegowani będąc zwykle mniej uzdolnieni, uciekają się do tego sposobu, gdy ukwalifikowani, pewni, że warunkom wymaganym odpowiadają nie używają tego środka i wstydzą się dobijać posady, drogą nie bardzo szlachetną. Do tego przyszło, że dziś każdy kandydat nauczycielski jest przekonany, że nie otrzyma nominacyi bez użycia jakichkolwiek środków protekcyjnych w Wiedniu. Oto przykłady: niedawno przy nominacyi starszego nauczyciela do seminaryum nauczycielskiego żeńskiego we Lwowie, wskutek wpływu protekcyj nominacyę zwlekano czas długi, a wreszcie kandydat najsłabszy otrzymał posadę. Przed kilku tygodniami zaś również do seminaryum nauczycielskiego męskiego w Rzeszowie otrzymał nominacyę kandydat nie proponowany wcale przez Radę szkolną, który nawet w terminie konkursowym nie wniósł żadnego podania — tylko sam osobiście udał się do Wiednia — i tam miał kogoś, który koło jego sprawy chodził. W obu tych wypadkach, pominięto kandydatów, postawionych przez Radę szkolną, zdolnych, posiadających chlubne świadectwa ukończonych studyów i złożonych egzaminów nauczycielskich, jak również i kilkuletnią praktykę nauczycielską.

Również tak się stało ze sprawą katechety w gimnazyum stryjskiem. Rada szkolna proponowała na katechetę, jednego z najzdolniejszych księży, poświęcających się zawodowi nauczycielskiemu, wskutek protekcyjnych wpływów, dopiero teraz po półtorarocznej zwłoce nominowano i to nie proponowanego przez Radę szkolną, ale protegowanego. Nie możemy wyliczać tu wielu innych tego rodzaju przykładów, gdyż zbyt wiele by to miejsca nam zajęło, a może nawet bez żadnej korzyści, bo jeżeli sami członkowie Rady

szkolnej (a są tacy, którzy zarazem są posłami w sejmie, lub w Radzie państwa) nie upominają się o swoje prawa, jeżeli namiestnik jako jej prezydent nie kładzie *veto* przeciw takiej gospodarce wiedeńskiej — to nasz artykuł dziennikarski nie naprawi złego. Wypełniając tylko nasz obowiązek, notujemy sam fakt jako wielkiej doniosłości.

Takie postępowanie, musi zniechęcać poświęcających się zawodowi nauczycielskiemu, którzy widzą, że nie drogą pracy, nauki, zdolnościami i sumiennem wypełnianiem obowiązków można uzyskać zapewnienie stanowiska nauczycielskiego, ale krętemi ścieżkami pokątnych protekcyj.

Wkrótce do tego przyjdzie, że jakiś sprytny przedsiębiorca otworzy w Wiedniu biuro protekcyjne dla nauczycieli galicyjskich. I można spodziewać się, że dobre będzie robił interesa.

LISTY Z KRAJU.

Zakopane w początkach sierpnia r. 1877.

Kto w tym roku, stosownie do przyjętego zwyczaju, w połowie lipca przyjechał do Zakopanego, ten przez całe trzy tygodnie, z bardzo małemi przerwami, z których najdłuższa dwa dni trwała, miał deszcze zimne i gęste, o jakich tylko mieszkańcy gór mają należyte wyobrażenie. Często o wschodzie słońca wypogadzało się niebo, aby za to już koło godziny 6ej rano osnuć się ołowianemi chmurami.

A mimo tych kaprysów natury, od miesiąca nie mija dzień, by ktoś z pragnących poznać te strony, nie przyjechał wygodnym wozem góralskim, aby w Zakopanem, w tem zaciszu oderwanem od gwarnego świata, zapomnieć o swoich kłopotach i zawodach. Nie wiele tu cierpiących fizycznie i w doskonałej żętycy ulgi szukających, ale za to w każdym domu znajdziesz ludzi znękanych pracą umysłową, którzy miasto rozrzucać się po kąpielach zagranicznych, gdzie więcej nudnej etykiety jak przyjemności, szukają w Zakopanem istotnego wypoczynku.

Z końcem lipca wieś cała była tak przepełniona, że nowi przybysze z wielką tylko trudnością mogli znaleść mieszkanie. W pierwszych dniach sierpnia zaczęła się już była emigracya, ale mimo to kolonia liczy jeszcze do 300 osób. Mówią, że w roku ubiegłym Zakopane miało jeszcze więcej gości; jeżeli w tym roku jest ich mniej, pochodzi to nie ze zniechęcenia do tej prześlicznej miejscowości, ale ztąd, że z powodu toczącej się wojny i zniżenia się kursu papierów moskiewskich, bardzo wielu mieszkańców Kongresówki z ziem zabranych musiało odmówić sobie przyjemności wyjazdu za granicę. Dla tego w stosunku do lat ubiegłych, rok ten był gorszym tak dla Zakopanego, jak dla Szczawnicy, Krynicy, Iwonicza i innych kąpielowych miejsc w Galicyi.

Ponieważ do Zakopanego nikt nie przyjeżdża szukać zabawy, lecz aby wypocząć i pięknemi widokami znękaną myśl odświeżyć, przeto za lat kilka stanie się ono w lecie prawdziwem schroniskiem dla ludzi umysłowo pracujących. Gogów ze szkiełkami w oku nikt tu nie zobaczy, ale za to co krok spotkasz człowieka, na którego czole praca ducha głębokie bruzdy wyorała.

Między gośćmi z Warszawy, pierwsze miejsce zajmuje dr. Tytus Chałubiński, nazywany tu królem Tatrzańskim, który do Zakopanego zjechał na kilka miesięcy z całą rodziną. Górale przepadają za szanownym doktorem, bo nie tylko leczy ich bezpłatnie, nietylko biednych wspiera, ale w dodatku utrzymuje stale kilkunastu górali, z którymi nieraz tygodniowe robi wycieczki. Zaiste podziwiać należy człowieka, który lubo że już nie pierwszej młodości, nie cofa się przed żadnym trudem, i z odwagą młodzieńca, wspina się na szczyty najbardziej strome. W całych Tatrach nie ma ponoś ani jednej wyższej góry, na którejby dr. Chałubiński nie był już kilka razy. Z gości warszawskich poznaliśmy tu także dr. Baranowskiego, szczycącego się w Królestwie polskiem niemałym rozgłosem i mecenasa Aleksandra Majewskiego, który mimo zdrowia wątłego, niezrównanym swoim humorem rozwesela najpoważniejsze towarzystwo.

Lwów dostarczył bardzo szczupłego grona. Prócz dr. Janoty, profesora uniwersytetu lwowskiego, który tu robi naukowe badania, widzieliśmy jeszcze ledwie kilka osób, a między nimi p. Rogosza, redaktora „Dziennika Polskiego.“ Z Krakowa przyjechało więcej, ale między nimi najwięcej Stańczyków, wyróżniających się białemi ręcznikami, które zamiast amerykańskich woalek poprzypinali sobie do kapeluszy. Jak światło od tła ciemnego, odbijają od nich postacie pp. Asnyka (Elyego) i Mieczysława Pawlikowskiego.

Co do życia, nie jest tu ono zbyt wygodne, ale za to bardzo przyjemne. Świeże powietrze, kąpiel w Dunajcu i cudowne wycieczki, mogą śmiało zastąpić brak materaców, na co skarżą się rozpieszczeni wygodnisie. Pokoiki są natomiast bardzo schludne i tanie; za jeden pokój płaci się tygodniowo 3 guldeny; w dwóch restauracyach utrzymywanych przez górali można jadać wcale nieźle — a poczciwość ludu wiejskiego, który z uprzejmością wita każdego gościa, dopełnia reszty. Ach! ten lud! Dajcie mi lud taki choć na połowie obszaru dawnych ziem polskich, a w jednem pięcioleciu ojczyznę odbuduję! Nie znam ludu o umyśle więcej bystrym, a zarazem poczciwszego. Wszystko pojmie, wszystko zrobi jak najlepiej, a w dodatku jest tak uczciwym, że w Zakopanem nie zdarzyło się jeszcze, by cokolwiek przyjezdnemu zginęło.

Towarzystwo Tatrzańskie założyło tu rodzaj kasyna w pobliżu kościoła. Prócz czytelni, utrzymującej kilkanaście dzienników, znajduje się w niem także restauracya i pokój bilardowy. Z końcem lipca p. Górski, skrzypek z Warszawy, dał w czytelni koncert, na który zgromadziło się do 100 osób. Po koncercie goście hulali ochoczo, a około północy zaproszeni górale puścili się także w tany.

Szkółka rzeźbiarska, założona przez Towarzystwo, robi piękne postępy. Małe dzieci wycinają z drzewa bardzo zgrabne zabawki i kasetki, a dostaną wkrótce zdolniejszego nauczyciela — rezultat po latach kilku będzie zadziwiający. Zręczność górala jest nadzwyczajną. Kilka dni temu odesłała ztąd szkoła na wystawę lwowską bardzo wiele przedmiotów, między temi duży stół jadalny z drzewa jasionowego w mozaikę układany, i dużą rzeźbę górala, wykonaną przez samego nauczyciela szkoły. Przekonacie się z tych okazów, że domowe nasze snycerstwo nie ustępuje już w niczem zagranicznemu — a jeżeli rząd o jego rozwój dbać będzie, wkrótce przewyższy ono bawarskie, a nawet szwajcarskie. *P. W.*

BIBLIOGRAFIA
polska.

— *Babel Bronisław.* Kilka listów o naszym przemyśle fabrycznym. 8-ka. str. 126. Przemyśl, 1877. 1·20

— *Beecher-Stowe.* Chata wuja Tomasza, czyli życie niewolników w Zjednoczonych stanach Ameryki północnej. Przekład, wydanie nowe i przejrzane. 16-ka. str. 461. Warszawa, 1877. 1·25

— *Cztery powiastki* dla Wojtka i Marysi, napisała Marja H. (z ryciną). 8-ka. str. 72. Warszawa 1877. 35 ct.

— *Erlicki Feliks.* Rys historyczny instytutów rolniczo-leśnych w Królestwie polskiem, z 11 rycinami. 4-o. str. 335 i XX. Warszawa 1877. 5 zł.

— *Goszczyński Seweryn.* Oda. Powieść z czasów Bolesława Wielkiego. 16-ka. str. 58. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej, 1878. 20 ct.

— *Hellwald Fryderyk.* Ziemia i jej mieszkańce. Przekład z niemieckiego. Tom I. Ameryka. Z licznemi drzeworytami w tekscie. 4-o. str. 303. Warszawa 1877. 3·60.

— *Jarochowski K.* Opowiadania historyczne. 8-ka. str. 183. Warszawa, 1877. 2 zł.

— *Kock Paweł.* Powieści. Wydanie nowe i całkowite, zeszyt 41 i 42. 8-ka. str. od 145 do 234. Warszawa, 1877. Każdy zeszyt po 25 ct.

— *Krasicki Ignacy.* Monachomachia i Antimonachomachia. 16 ka. str. 76. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej, 1878. (48 tomik Biblioteki Mrówki.) 20 ct.

— *Krasicki Ignacy.* Satyry. 16-ka. str. 102. Lwów. Nakład Księgarni Polskiej. 1877. (47 tomik Biblioteki Mrówki.) 30 ct.

— *Kraszewski J. I.* Boleszczyce. Powieść z czasów Bolesława Szczodrego, 2 tomy. 8-ka. str. 211. 199. Warszawa, 1877. 3·30.

— *Kraszewski J. I.* Zaklęta Księżniczka. Nowella. 8-ka. str. 179. Warszawa, 1877. 1 zł.

— *Nakęski Ad N.* Sąsiedzi narodów słowiańskich. Zarysy historyczno-etnograficzne. 16-ka. str. 128. Warszawa, 1876. 75 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.
Literatura, sztuka i nauka.

— *Kilka listów o naszym przemyśle fabrycznym, napisał Bronisław Babel, inżynier-technolog. Przemyśl, 1877.* Autor zajmuje się następującemi sprawami: Drzewo i wyroby z drzewa, kosztorys i obliczenie zysków fabryki drewienek zapałkowych. Skóry i garbarstwo, wyroby skórzane, kosztorys i obliczenie zysków fabryki wyprawy skór. Siarka, kwas siarkowy, soda, kosztorys i obliczenie zysków fabryki sody. Len i konopie, przędza i płótno, kosztorys i obliczenie zysków przędzalni lnu. Potaż, szkło, wyroby szklanne, huty szklanne, rentowność hut szklannych. Cukier z buraków, przemysł cukrowniczy, kosztorys i obliczenie zysków fabryki cukru z buraków. Wyroby gliniane, porcelana, fajans, rury drenowe, fabryki terracotty, cegielnie, fabryki cegieł maszynowych. Papier, masa drzewna papierowa, papier ze słomy, kosztorys i obliczenie zysków fabryki papieru ze słomy. Krochmal ziemniaczany, wyroby krochmalne, kosztorys i obliczenie zysków fabryki krochmalu suchego, terpentyna i wyroby uboczne, kosztorys i obliczenie zysków fabryki surowej terpentyny. Zakładanie fabryk, kapitał zakładowy, wybór miejscowości, niepowodzenie naszych fabryk, stosunki zewnętrzne, drogi żelazne, siły robocze, technicy nasi, pieniądze i kredyt, stosunki techników do kapitalistów, sposób opodatkowania, straty państwowe.

Podaliśmy całą treść dzieła, aby uwidocznić czytelnikowi jak ważne kwestye traktuje autor i zdaje się, nie potrzebujemy polecać bliższe obeznanie się z książką, która nietylko jest ważną dla ludzi trudniących się większym przemysłem, ale dla każdego dając mu możność rozszerzenia wiadomości w tej tak ważnej a tak bardzo zaniedbanej u nas gałęzi bogactwa narodowego. Bliższą ocenę dzieła podamy wkrótce.

— *Wścieklizna u zwierząt i sposób w jaki ją ograniczyć można. Napisał dr. F. Czapla. Toruń, 1877.*

Autor zajmuje się wszechstronnem rozpatrzeniem kwestyi, bada jej przyczyny, wskazuje na środki zaradcze i przychodzi do wniosku, że ażeby zmniejszyć złe skutki wścieklizny, należy myśleć głównie nad tem, ażeby zapobiedz rozszerzaniu się choroby. Głównie widzi autor dwa środki zaradzenia złemu: wysokie opodatkowanie psów i szczeniąt, ażeby zniechęcić ludzi do trzymania psów i nakładania psom kagańców, aby wtedy kiedy są w kagańcach nie mogły kąsać. Owoż ani jedno ani drugie wcale niczemu nie zaradza i tylko jest bezpotrzebnem, jeżeli nie powiemy bezrozumnem znęcaniem się i dręczeniem zwierząt. Zkąd inąd zresztą, nie zgadzając się na konkluzye autora, książkę polecamy jako zawierającą wiele ważnych szczegółów o wściekliźnie.

— *Biblioteki Mrówki* wyszedł z druku tomik 49ty i zawiera Seweryna Goszczyńskiego „Oda,“ powieść z czasów Bolesława Wielkiego.

— *Dziejów powszechnych Szlossera* opuścił już prasę zeszyt 118. Wydawnictwo to zbliża się już ku końcowi. Wyszłych 118 zeszytów zawiera 708 arkuszy druku.

— *Odczyty o sztuce* Rodakowskiego, Hausnera i Zacharjewicza, które były drukowane w „Tygodniu“ wyszły w osobnej książce.

— „Towarzystwo techników“ rozpoczęło we Lwowie wydawnictwo czasopisma nieperyodycznego pt. *Dźwignia*, którego wyszedł nr. 1 i zawiera: Do czytelników. Sprawy Towarzystwa. O technikach cywilnych. Konstrukcye nawierzchniej budowy kolejowej, z tablicą litograficzną. W sprawie polskiej terminaologii technicznej. Rozmaitości. Literatura techniczna. Cena pojedyńczego nr. 30 ct.

— Z Medyolanu donoszą nam, iż Ludwik Wierzbicki, śpiewak (*basso cantante,*) uczeń p. Horbowskiego, który przed pół rokiem dzięki poparciu Warszawy, wyjechał za granicę, otrzymał już propozycyę ze strony impressarya Marchellego.

— Na bruku warszawskim pojawią się wkrótce mili goście. Będą nimi włościanie z Rokitna, w kieleckiem, w liczbie ośmnastu, stanowiący „dobraną a rznącą od ucha kapelą.“ Samorodni muzykanci grać mają na estradzie jednego z tamtejszych ogrodów w swoich strojach narodowych.

— W Krakowie zamkniętą została księgarnia p. Adolfa Dygasińskiego. W Poznaniu zwinął księgarnię i antykwarnię p. E. Callier. W krótkim przeciągu czasu zamknięte zostały księgarnie: w Stanisławowie Gluchowskiego, w Warszawie Stoppele i Stan. we Lwowie Wł. Zawadzkiego, w Krakowie Al. Nowoleckiego, Ad. Dygasińskiego i Józefa Czecha, w Nowym Sączu Al. Nowoleckiego, w Poznaniu E. Calliera. Jest to niewątpliwy skutek obecnej wojny i spowodowanej nią stagnacyi w handlu. Rzecz dziwna, że handel księgarski najbardziej odczuwa tę stagnacyę, pomimo iż w zwykłym czasie handel ten utrzymuje się, przy znanym u nas książkowstręcie, tylko sprzedażą niezbędnych artykułów jak książki szkolne, czasopisma, książki dla szkółek ludowych, książki dziecinne itp.

Szkoły.

— W roku zeszłym w 181 zakładach naukowych miasta Warszawy było uczących się chłopców 14602, dziewcząt 7641, razem 22243, więcej o 1003 jak w r. 1875. Stosunek zaś liczby uczących się do ludności Warszawy stanowi procent 7,2. Instytucye naukowe składają: cesarski warszawski uniwersytet -- aleksandryjsko maryjski instytut, męzkich gimnazyów 6, szkoła realna 1, żeńskich gimnazyów 4, męzkich progimnazyów 2, żeńskie progimn. 1, szkoła miejska 3-klasowa 1, seminaryum nauczycieli 1. Innych szkół prywatnych, pensyj różnych wyznań 147. Z zakładów naukowych specyalnych istnieją: szkoła weterynaryjna 1, klasa rysunkowa 1, instytut głuchoniemych i niewidomych 1, szkoła niedzielno-handlowa 1, rzemieślniczo-niedzielnych szkół 12.

— Szkoła handlowa prywatna w Warszawie, mająca na celu teoretyczne i praktyczne przygotowanie młodzieży zamierzającej poświęcić się zawodowi handlowemu, założona przez Leopolda Kronenberga, a utrzymywana przez Rz. R. St. Przystańskiego, ogłosiła sprawozdanie za ubiegły rok 1876/7.

Składa się ona z trzech klas: przygotowawczej i dwóch specyalno-handlowych.

Liczba uczniów w drugiem półroczu wynosiła: w klasie przygotowawczej 92, w pierwszej spec. handl. 55, w drugiej 18, czyli razem 167; było też dwóch wolnych słuchaczy.

Ciało nauczycielskie składało 21 pedagogów, między którémi błyszczą nazwiska wytrawnych i jedynych w zawodzie tym osobistości.

Niezamożni uczniowie w liczbie 25, na przedstawienie zarządzającego szkołą, zdecyzyi L. Kronenberga byli uwalniani od opłaty szkolnej.

Pomoc naukowa dawana była uczniom jak najgorecej.

Patenty otrzymało pięciu uczniów.

Zakład, dzięki hojności ofiarodawcy, gorliwości i fachowemu kierunkowi zawiadującego i pracy nauczycielskiej, świetne może dla handlu naszego przynieść owoce

Wiadomości ekonomiczne.

— W Warszawie istnieją obecnie następujące spółki:

stowarzyszenie spożywcze „Merkury“;
kasa pożyczkowa przemysłowców warszawskich;
magazyn mebli zjednoczonych stolarzy;
magazyn drzewa rękodzielników warszawskich;
magazyn obuwia zjednoczonych szewców;
magazyn ubiorów zjednoczonych krawców;
spółka szewców dla sprzedawania materyałów surowych;
spółka ślusarzy do sprzedaży wyrobów gotowych;

— W Bolesławiu, majętności p. Kramsty, położonej w pow. olkuskim, kopalnie galmanu, obsługiwane są przez siedm maszyn parowych, z których trzy służą do wyprowadzania wody z kopalni o sile 250 koni, dwie do wydobywania rudy o sile 20 koni i dwie do wprowadzania w ruch płuczkarni o sile 57 koni. Produkcya kopalni dochodzi rocznie do 165000 rs., a zwiększenie eksploatacyi jest jeszcze spodziewane z chwilą przeprowadzenia projektowanej kolei żelaznej przez wieś Bolesław do Dąbrowy, która to kolej połączy skarbowe i prywatne kopalnie galmanu z kopalniami węgla kamiennego i hutami cynkowemi. Bolesław nie więcej jak dopiero przed dziesięcioma laty został nabyty przez pana Kramstę. Poprzednio stanowił własność hr. Mycielskiego i sprzedany został za bezcen.

— Komisya przysłana z Petersburga do rewizyi linii nowo pobudowanej kolei nadwiślańskiej, po ukończonej rewizyi całej drogi na przestrzeni od Mławy do Kowla, oglądała jeszcze dodatkowo mniejsze odnogi, które od dworca kolei nadwiślańskiej na Pelcowiźnie, prowadzą na linię kolei obwodowej, oraz na drogi: terespolską, petersburską i wiedeńską. Po ukończeniu tej rewizyi, wysłany został do ministerstwa w Petersburgu telegram, donoszący, iż droga nadwiślańska jako znajdująca się już w zupełnie dobrym stanie bezzwłocznie otworzoną być może. W takiem położeniu rzeczy można spodziewać się, że nowa kolej w krótkim już czasie oddaną zostanie na użytek publiczny.

Kolej ta idzie od Warszawy do Puław prawie równolegle do Wisły, następnie skręca na południowschód i od Lublina przybiera kierunek wschodni aż do Kowla w wołyńskiej gubernii, gdzie łączy się z koleją brzesko-kijowską. Kolej ta zbudowana w celach strategicznych ma wielką przyszłość pod względem handlowym. Kolej ta zbliżyła ku nam Warszawę o całą odległość Warszawy od Lublina.

Starożytności.

— Z Marsylii donoszą, że mieszkańcy wioski Calissanne, niedaleko Langon, zajmują się obecnie rozkopywaniem starożytnego obozowiska Maryusza. Obóz ten, zajmowany przed wiekami przez Rzymian, posiada mnóstwo studni, rodzaj cystern, z których większa polowa od niepamiętnych czasów jest zasypaną. Owóż stare podanie mówi, że jedna z tych cystern leżąca w części południowo-wschodniej obozowiska, posiada w swych głębiach mnóstwo kosztownych rzeczy oraz pieniędzy, zachowanych tutaj albo przez rodziny uciekające przed okropnościami wojen średniowiecznych, albo też przez Rzymian. Bądź co bądź, dość że pięciu mieszkańców wsi Calissanne złączyli się ze sobą i rozpoczęli staranne poszukiwania. Trudy ich w części już się wynagrodziły —znaleźli bowiem pyszny posąg Jowisza z marmuru oraz żelazną lampę bardzo starożytnych kształtów. Do dna cysterny jest jeszcze bardzo daleko, poszukiwacze jednak sądzą, że tego jeszcze lata dostaną się tam i znajdą skarby wynoszące według podania najmniej 50 milionów franków. Obóz w którym robią się powyższe poszukiwania ma mniej więcej 3,500 metrów obwodu — otoczony wałami i wieżami. Mury otaczające go są zupełnie zrujnowane, mimo to w niektórych miejscach wysokość ich dochodzi 6 metrów. Obóz ma kształt podkowy. Całe jego wnętrze pokryte jest ruinami i cysternami. Znajduje się tu mnóstwo skorup z waz i amfor, pochodzenia rzymskiego. W czasie dawnych wojen domowych we Francyi miejscowość ta służyła okolicznym mieszkańcom za bezpieczne schronienie.

— Na czworoboczną basztę, natrafiono w tych dniach w Chełmie przy kopaniu fundamentów.

Podobną jest ona do dwóch innych, z których jedna znajduje się w Stołpiu o 10 wiorst od Chełma, a druga o 2 wiorsty od Chełma na łąkach okrzowskich.

Świeżo znaleziona baszta ukazała się na 2 stóp pod powierzchnią ziemi.

Jama głęboką jest około stóp 12.

Mury, z dzikiego kamienia grubości stóp 8, są niezmiernie twarde.

Cały czworobok tej baszty pochylony jest z południa na północ.

ROZMAITOŚCI.

OBRAZY TURECKIE.

Tytuń i narkotyki.

— Pomiędzy rozkoszami, które szeroko po mahometańskiej Azyi się rozprzestrzeniły, główną rolę gra tytuń i fajka. Nie są one tam przedmiotem zbytku, lecz nieodzownym artykułem potrzeb codziennych. Tak w wspaniałym pałacu Stambułu, jak w ubogim namiocie mieszkańca środkowej Azyi, fajka ma to samo znaczenie. Nędzny mahometanin, który chleba nigdy nie widział, po suchym kąsie końskiego mięsa i łyku kwaśnego kumysu, fajkę uważa za najwyższą rozkosz. Czy tytuń został wprowadzony do zachodniej Azyi, z Europy lub Chin, o to często się już sprzeczano. Przypuszczenie że mosiężna fajeczka Chińczyka, wraz z upływem niebieskiej cywilizacyi doszła aż do gór Tień-szau, zdaje się być usprawiedliwionem, a jednakowoż jest fałszywem; że tytuń bowiem w średnich wiekach nie był znanym na Wschodzie, dowodzi ta okoliczność, że w naukach Mahometa ustęp o wzbronieniu odurzających przedmiotów, roślinę tę w późniejszych dopiero czasach wspomina. Nie ma także najmniejszego śladu tytuniu, ani w tureckiej, ani perskiej, ani w tatarskiej literaturze.

Poeci, którzy tak chętnie opiewali miłość, wino, kwiaty, — i inne uciechy życia, — nie byliby niezawodnie zapomnieli o tytoniu, tej najwyższej rozkoszy Wschodu. Ludy Azyi nie prędko przyswajają sobie obce zwyczaje. Dziś wszakże tytuniowi hołdują mieszkańcy Wschodu uroczyście. W Rumelii, a szczególniej w Jeńdyńskim Vardarze, miejscowości na północno-wschód od Saloniki, najwyborniejszy rośnie tytoń. Małą tą brunatno żółtą roślinę, sadzą na gruncie całe tygodnie, nawet miesiące, potem układają w paki (Bogteze), które lat kilka spoczywają w magazynie kupca, nim Konstantynopolitański sekretarz uczci je nazwiskiem Aala Göbeck. Cienko, wtedy, jak jedwab pokrajany tytuń, wysoko bywa ceniony w pałacu i haremie Sułtańskim, a tajna rada ministrów pośród kłębów dymu z niego się unoszącego posiedzenia swe odbywa. Stambułki, cybuchy i mundsztuki — przewodniki tego narkotyku, są tam przedmiotem wielkiej troskliwości. Stambułka gliniana musi być opatrzona stemplem fabrycznym Hassana w Findekli (część miasta), drugi cybuch jaśminowy z korą jedwab naśladującą musi pochodzić z plantacyi Brussy, mundsztuk musi być wyrobiony w najmodniejszych kształtach z przezroczystego, jasnego bursztynu, a Ziwana, na którym jest osadzony przez pierwszego utoczony tokarza. Kto taki ma tytuń i takie do niego przyrządy, nie może się obejść i bez dzielnego służącego (czibukczi), który mu fajkę podaje.

Obowiązkiem czibukcziego jest z symetryczną troskliwością składać wszystkie części fajki. Stambułka nakłada się na kilka dni przed użyciem i stosowną pokrywką przykryta, przechowuje w blaszanej puszce. Utrzymują także, że moc fajki zależy od kształtu i wielkości węgla, którym się ona zapala, to też czibukczi długo w kominie grzebać musi, nim stósowny węgiel znajdzie. Pierwsze pociągnięcie dymu z fajki uważa Turek za nie złe, drugie i trzecie za najlepsze, czwarte już za mniej smaczne, a piątego prawdziwy smakosz wcale już nie używa.

O zmarłym sułtanie Abdul-Medzidzie opowiadają, że nigdy więcej nad trzy razy z fajki nie pociągnął, a niegdyś minister spraw zagranicznych Aali-Basza zawsze fajkę w połowie odstawiał. Pogardzone te przez smakoszów resztki, służba z prawdziwą dopalała rozkoszą.

Ponieważ każdy własnej tylko używa fajki, nic więc dziwnego, że ona wszędzie i zawsze nieodstępną jest Turka towarzyszką. Osobistości zamożniejsze do jednej tylko fajki trzymają dwóch i czasem trzech służących, z których jeden spełnia obowiązki czibukczego w domu, a drugi podczas spaceru lub podróży. Ten ostatni zawija cybuch w kosztowny, złotem lub srebrem przerabiany sukienny woreczek, a stambułkę, tytuń i inne akcesorya nosi w torbie przez ramię zawieszonej.

Nie jest to wcale rzadkością u mieszkańców Wschodu wypalać dziennie 60–80 fajek; fajka nie odstępuje Turka przy najpoważniejszem zajęciu. W Stambule na radzie ministeryalnej, gdzie wielcy mężowie stanu o sprawach ojczystych radzą, podniesiono raz kwestyę, czyby nie wypadało, przynajmniej w razie tajemniczych spraw stanu, wzbronić wstępu czibukczim. Różność zdań była wielka, podniebienie walczyło z rozsądkiem, aż w końcu postanowiono dawnego nie rugować zwyczaju. Wiedziano wszakże dobrze, iż sprytny sługa nie jedną podsłuchał tajemnicę i nim jeszcze sułtan lub świat urzędowy o jakiem postanowieniu był zawiadomionym, już ono na ulicy tajemnicą nie było. Czibukczi więc obok eunucha haremowego jest najpewniejszym reporterem dla poselskich drogmanów i korespondentów dziennikarskich.

Tytuń i fajka są oznaką zewnętrzną nietylko różnych stanów, lecz i pojedyńczych rang tychże. Muszir)marszałek) uważałby za niestosowne palić fajkę z krót-

szym niż dwa łokcie cybuchem, rzemieślnik zaś lub niższy urzędnik takiego zbytku pozwalać sobie nie może. Pasza puszcza dym z ust przed siebie, jak z komina lokomotywy, podczas gdy palący w obecności niższy rangą lub położeniem towarzyskiem śmiertelnik, delikatny tylko dymek i to po za siebie pykać się poważa. W obecności poważnych osobistości, młodszym palić się nie godzi, a syn, któryby sobie pozwolił fajki przy ojcu nawet na jego wezwanie, uważanyby tam był za źle wychowanego.

Świat niewieści również pali namiętnie, mniej tylko używa fajki. Dwunastoletnie dziewczę zaczyna w sekrecie od cienkiego jak nitka papierosa. W 14 lub 15-ym roku życia, w którym Turczynki uważają się za pełnoletnie palenie jest im dozwolone. Z liczbą lat rośnie objętość papierosa, a kobieta w 24 latach nie żenuje się już wcale z długim cybuchem zasiąść na dywanie. Matrony po za czterdziestką są gorącemi czcicielkami tytuniu. Kobiety równie jak mężczyźni mają swoje czibukczi, skoro się wybierają na spacery lub wizyty. Zapominać nie trzeba, że kiedy kobiety palą, zmuszone są odsłaniać zakrywający im twarz welon, — pilnują ich wtedy eunuchy i nie pozwalają zbliżać się mężczyznom Najwięcej palą Turczynki podczas kąpieli, wiadomo bowiem, że po kilka godzin one się tam zabawiają.

Konstantynopol wobec prowincyi, reprezentuje cywilizowaną i bogatą część kraju; i pod względem używania tytuniu spostrzegać się to daje. Mieszkaniec Anatolii i Rumelii najlepszy swój produkt sprzedaje, a zadowalnia się tytuniem trzeciego i czwartego gatunku. Nad brzegami morza Czarnego palą zwyczajny Samson, który pod względem aromatu i smaku o wiele ustępuje rumelskiemu; nawet stambułki i cybuch nie są już tu tak zbytkowne. Nad wschodnim brzegiem morza Śródziemnego rośnie tytuń czarny pod nazwiskiem Latakia. Gatunek ten ma tę własność że nakłada się nim fajkę do połowy, bo po zapaleniu i pociągnięciu podnosi się jak zaprasowana wełna. Niektórzy amatorowie przekładają go nad tytuń rumelski, jest on wszakże zbyt mocny i odurzający.

Turcy i Arabowie używają ogólnie fajki, wyjątkowo tylko spotkać można Nargilę *), naczynie z wodą aromatyczną, przez którą dym z fajki do ust przechodzi. Na prowincyi w kawiarniach, do których wszyscy się schodzą, fajka jest jedyną ożywicielką politycznych i religijnych rozpraw. Chcąc powziąć wyobrażenie o materyalnych stosunkach danej miejscowości lub miasteczka, do kawiarni tylko zajść trzeba. Ciekawy jest rzeczywiście wyraz twarzy właściciela takiego zakładu, z jakim obserwuje on świeżo wchodzącego gościa.

Z brody i ubrania wnosi on o jakości fajki, cybucha i bursztynu, jakie przybywającemu podać należy. Jeżeli gość rozmową i sposobem zachowania się przychylny dla siebie wywrze wpływ na obecnych, to wszyscy wyprzedzają się z podaniem mu swej fajki. Niegrzecznością jest nie przyjąć jej, a dowodem zupełnego braku wychowania, obcierać bursztyn przed wzięciem go do ust.

Ciekawem jest także przypatrzeć się, jak Turek lub Arab jadąc konno, nawet kłusem, nakłada, zapala i pali fajkę, czyni on to tak zręcznie, że ani źdźbło tytuniu mu nie upadnie. Persya odznaczająca się między wszystkiemi narodami przedniej Azyi wykształconym i delikatnym gustem, szczególnemi przymiotami ducha i najdawniejszą cywilizacyą, pod względem używania fajki i tytuniu najdalej je doprowadziła. Tytuń perski, Tumbaku zwany, jest znacznie odmienny od innych dotąd przytoczonych gatunków, a i przyrząd do palenia także u Persów jest inny.

Składa on się z następujących części: 1.) Naczynie z wodą, które albo wyrabiają w Ispahanie z gliny, albo szklanne sprowadzają z Rossyi i Czech, albo nareszcie przyrządzają je u siebie z drzewa kokosowego. Z tego ostatniego materyału najwięcej jest zbytkownem, bo bywa ozdabiane srebrem, złotem i kosztownemi kamieniami. 2.) Obsada drewniana, wewnątrz próżna, zwykle dwanaście cali wysokości mająca; bogaci zdobią ją srebrem i zawieszają na niej kosztowne łańcuszki. Na wierzchu tej obsady znajduje się. 3.) właściwa stambułka, Serkakian zwana, z gliny lub drzewa. Wewnątrz wyłożona jest wapnem, zewnątrz zaś zbytkownie przystrojona srebrem, złotem, i innemi kosztownościami. Rzemieślnicy ozdabiający takie fajki, najsławniejsi są w Ispahanie i Szirazu, a otrzymują za wykończenie jednej sztuki po 20—30 dukatów w złocie. 4.) Cienka do Serkallianu przymocowana rurka, przez którą idzie dym destylowany. Zamiast tego cybucha, na spacerach i w podróży używa się długi skórzany wąż, Marpicz. Jadący za panem służący trzyma cały przyrząd, a pan końcem tylko cybucha ust dotyka.

Perska ta fajka wodnista, czyli Kallian, jeżeli jest wyrobiona z gustem pewnym, jest rzeczywiście ładnym w mieszkaniu sprzętem. Ponieważ z kalliana palić można tylko siedząc, to też charakter jego więcej jest wschodni, aniżeli fajki tureckiej. Turek pali fajkę cały dzień, o każdej porze i przy każdem niemal zajęciu, Pers zaś rozkoszuje się kallianem z rana, a szczególniej o zachodzie słońca na wolnem powietrzu. W Persyi ogólnie wierzą, iż palenie Tumbuku jest doskonałą prezerwatywą przeciwko chorobom piersiowym, o czem wszakże wątpić należy.

Najlepszy Tumbuka rośnie w Szirazu i jego okolicy, w wielkiej obfitości, tak, że wywóz roczny tego artykułu oceniają na 100,000 dukatów. Przewozi on się po większej części w całych liściach, — w workach.

Z Persyi przejdziemy jeszcze do Tartaryi, Turkiestanu czyli Azyi środkowej. Ludność koczująca i osiadła nad brzegami Oxusu i Jaxastesa jest zupełnie dzika i stoi na najniższym szczeblu cywilizacyi mahometańskiej. Całym ich zbytkiem jest tytuń, którego z wielką namiętnością używają. Fajka wprowadzoną tu została z Persyi i dlatego kształty jej podobne są do glinianego naczynia; do Kallianu, — używają tu zwykle wydrążonej dyni, lub ze zwyczajnego drzewa wyrobionego rezerwoaru.

W Azyi środkowej najlepszy tytuń rośnie w Karszi i Szechri-Sebz, miejscu urodzenia wielkiego Timura; w Chinach także jest gatunek Rasanek zwany, wszystek wszakże pod względem aromatu i łagodności o wiele ustępuje perskiemu. Tutaj palą tytuń tylko w stanie suchym, a jego gryzący i ostry dym, tatarskie tylko podniebienie i płuca znosić mogą. Przy pierwszem użyciu tego gatunku, długiego dostaje się kaszlu, którego pozbyć się nie łatwo.

W Chanacie Chiwijskim palą najwięcej, w Bucharze kryją się z fajką, a w Kokandzie używają jej bardzo mało. Ponieważ mieszkaniec Środkowej Azyi w tytuniu szuka raczej odurzenia, a nie przyjemności, to w pomoc takowemu wynalazł sobie narkotyczny surogat, którym jest opium. Głównymi propagatorami tego narkotyku są derwisze, którym i sami się zachwycają i drugich do używania go namawiają. W Środkowej Azyi Chanka jest tem, czem kawiarnia w Turcyi, a herbaciarnia w Persyi. Niektóre zakłady cieszą się szczególną renomą i powodzeniem z przygotowywania tej makowej trucizny. W miejscach takich podczas dni targowych i świątecznych schodzą się tłumy amatorów. Namiętności tej podlegają wyżej wykształcone nawet klasy; w Chinie Chan, ministrowie i wyżsi urzędnicy odurzają się opium. Rrzeczywiście trudno pojąć, jak ci wychudli od używania narkotyku ludzie, długo żyją.

W mieście i w Chanacie Buchary pobożni Mollowie zaliczają tytuń do odurzających napojów, to też używanie go jest przez rząd i duchowieństwo srogo zakazane. Pomimo to w Bazarze Bucharskim liczne są sklepy z tytuniem. Handel ten jest cierpiany, a że konsumenci pokryjomu narkotyku używają, nikogo to tam nie obchodzi. Utrzymują tam wszyscy, że wolno grzeszyć, lecz pokryjomu.

Ulemowie i uczeni, do których w Bucharze wszystkie liczą się znakomitości, uważają fajkę za coś nieczystego. Dlatego nie palą tu tytuniu, a zażywają, lecz w tak obrzydliwy sposób, że w Europie wyobrazić sobie trudno. Co dziesięć minut tabakierka jest w robocie, z której wysypuję tytuń na wierzch ręki i całą siłą nosa wciągają w siebie. Podobny sposób zażywania praktykuje się gdzie niegdzie i u nas, lecz odrażający jest zwyczaj kładzenia tytuniu nie do nosa, lecz do ust między język i podniebienie, i wypluwania go za chwilę. Nie do zazdrości położenie biedaka, który z podobnem indywidyum musi prowadzić rozmowę. W Bucharze, Afganistanie i północnych Indyach żucie tabaki uważają za nieprzyzwoitość. Szukają tam tylko w tem środka przeciwko bólowi zębów. Może i to prawdopodobne, lecz za to zęby mężczyzn i kobiet od używania tytuniu nie miłe robią wrażenie. Przy tytuniu w Środkowej Azyi nieodstępnie towarzyszy herbata tak zwana cegiełkowa. Jest to napój przyprawiony tłuszczem i solą, harmonizuje więc doskonale z tytuniem. Herbata musi być wrząca, a po każdym jej łyku następuje pociągnięcie fajki. Podług zdania Tatarów herbata bez fajki obejść się nie może, pierwsza rozgrzewa krew, druga dymem rozwesela głowę: są oni przekonania, że fajka wzrok zaostrza.

W końcu nadmienić jeszcze wypada o improwizowanej fajce Kirgiza. Koczownik ten, żyjąc wśród pustyni, żadnego nie potrzebuje do tytoniu przyrządu, aby tylko miał wodę pod ręką. Radzi on sobie w następujący sposób. Szuka przedewszystkiem w około, ziemi gliniastej, w której rękami wygrzebuje dołek na dwie pięście głęboki. Otwór ten przykrywa, na prędce z gliny, w kształcie stambułki wyrobionem naczyniem. Około zostawionego w przykryciu małego otworu cienki cybuch wkłada tak, że on się łączy z wodą i na dwa palce z ziemi wystaje. Przy tym nieruchomym przyrządzie wyciąga się Kirgiz na ziemi i z taką rozkoszą używa tej fajki, jakby ona pochodziła z drzewa tureckiego lub perskiego magnata. O czystości naturalnie przy takiem postępowaniu mowy być nie może.

Równie jak sprzeciwisjace się naturze obyczaje haremu większe daleko rodzą złe, tak też przez religię zakazana wstrzemięźliwość od wina i zapalnych napojów, stała się przyczyną namiętności do narkotyków, Haszisz, Beng, opium i rozmaite inne odurzające nerwy narkotyki nie są stosunkowo bardzo rozpowszechnione tam, gdzie ludność używa wina i innych spirytualiów. W Konstantynopolu żyje tylko wspomnienie o Assundszilar, placu, na którym ofiary opium w cieniu drzew, ducha i ciało zabijały.

W Turcyi Derwisze za pomocą Haszis zu i opium starają się pobudzać uczucia, które mają dawać o przyszłej szczęśliwości wyobrażenie. Dlatego też narkotyki nazywają oni Esrar (tajemnice). Turecki Esrar przygotowuje się ze sławnego maku rosnącego w Brussie, Iszmidzie i Mozulu. Liście tej rośliny zbierają się starannie, suszą i trą, a w połączeniu z syropem robią się z nich pastylki, które się kładą na rozżarzone węgle kallianu. Esrar pojawia się także w kształcie małych — cienkich kijków, z których po kawałku się odłamuje.

Im dalej na Wschód, tem więcej użycie narkotyków jest rozpowszechnione. W Persyi największą gra rolę Benk, preparat z liści rośliny uprawianej przez Derwiszów pod nazwiskiem canabis indica, opium zaś i tiriak w formie pigułek zażywa młody i stary — ubogi i bogaty. Persowie używają opium dziennie dwa gramy, w wilgotnych zaś nizinach morza Kaspijskiego doza ta dochodzi do czterech gramów.

Śmierć rzadko jest następstwem tych namiętnie używanych narkotyków, lecz okropne są skutki ich na człowieka pod względem moralnym i duchowym.

*) Nargile pochodzi od perskiego słowa „Nardschil“, drzewo kokosowe, z którego początkowo przyrząd do palenia robiono.

Od Redakcyi.

Z niezależnych, od wydawnictwa przyczyn Nr. pierwszy czasopisma „Wystawa krajowa“ nie mógł wyjść w zeszłym tygodniu i dopiero wyjdzie za dni kilka.

Sprostowanie. W Nr. 49. str. 783 „Szkoły“ wiersz 6. czytaj: Rsr. 143.112 kop. 86.

Treść Nr. 50. str.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.